

We wlasnym ciele

Clive Barker



calibre 0.9.27

Clive Barker

WE WŁASNYM CIELE

Gdy Cleveland Smith wrócił do celi po spotkaniu z szefem strażników, jego nowy współlokator był już na miejscu. Wpatrywał się w słońce przez zakurzone okno ze zbrojonego szkła. Słońce pojawiała się w oknie na krótko; przez pół godziny każdego dnia, (jeśli akurat nie było chmur) jego promienie przemykały między murem i budynkiem administracji, prześlizgiwały się po ścianie pawilonu B, znikaly i pojawiały się dopiero nazajutrz.

- Ty jesteś Tait? - zapytał Cleve.

Więzień odwrócił oczy od słońca. Mayflower twierdził, że nowy ma dwadzieścia dwa lata, ale wyglądał najwyżej na siedemnaście. Jego twarz przypominała pysk bezpańskiego psiaka, i to brzydkiego, którego państwo porzucili na środku ruchliwej ulicy. Zbyt szeroko rozstawione oczy, zbyt miękkie usta, zbyt wąskie ramiona: urodzona ofiara. Cleve był wściekły, że kazano mu się o niego troszczyć. Tait oznaczał

kłopoty, a on nie miał energii do marnowania na opiekę nad chłopcem, mimo tego całego gadania o przyjaznej dłoni.

- Tak - odpowiedział psiak. - William.

- Ludzie mówią ci William?

- Nie. Mówią mi Billy.

- Billy - Cleve skinął głową i wszedł do celi. Więzienie w Pantonville było raczej łagodne; cele pozostawały otwarte przez dwie godziny rano i najczęściej także dwie godziny po południu, pozostawiając więźniom względną swobodę ruchów. Ten układ miał jednak swoje wady i ich właśnie dotyczyła gadka Mayflowera.

- Kazali mi udzielić ci kilku rad.

- Tak?

- Siedziałeś już kiedyś?

- Nie.

- Nawet w Borstal? Oczy Taita błysnęły.

- No, trochę.

- Więc wiesz, o co idzie gra. Wiesz, że jesteś łatwym łupem.

- Jasne.

- Wygląda na to, że wybrali mnie na ochotnika - stwierdził Cleve bez entuzjazmu

- żebym cię chronił przed przerżnięciem.

Tait przyjrzał mu się oczami, których błękit wydawał się rozwodniony, jakby ciągle jeszcze świeciło w nich słońce.

- Nie nadstawiaj karku. Nic mi nie jesteś winien.

- I tu masz cholerną rację. Ale mam chyba jakieś społeczne obowiązki - ton głosu Cleve'a był kwaśny. - Ciebie.

Cleve odsiedział już dwa miesiące z wyroku za posiadanie, Marihuany.

Pantonville odwiedzał po raz trzeci. W wieku trzydziestu lat wcale nie czuł się zabytkiem. Był dobrze zbudowany, twarz miał szczupłą i delikatną: w sądzie, kiedy ubrany w garnitur wędrował na rozprawę, z odległości dziesięciu metrów wyglądał

raczej na prawnika. Z bliska obserwator mógłby już zauważyć bliznę na szyi -

pozostałość po ataku narkomana bez grosza i to, że Cleve porusza się ostrożnie -

jakby przy każdym kroku szykował się do ucieczki.

- Jest pan jeszcze młody - powiedział mu ostatni sędzia - ma pan jeszcze czas, żeby zmienić cętki. Cleve nie zaprzeczył głośno, lecz w głębi duszy wiedział, że z urodzenia i wychowania jest tygrysem. Przystępstwem zarobić łatwo, a pracą nie.

Dopóki ktoś mu nie udowodni, że jest odwrotnie, będzie robił to, w czym jest najlepszy, a jeśli go złapią, to poniesie konsekwencje. Odsiadka wcale nie musi być taka straszna, jeśli podejść do niej we właściwy sposób. Niezłe jedzenie, wybrane towarzystwo; jak długo Cleve znajdował sobie coś, co mu wypełniało czas, był całkiem zadowolony. Teraz czytał książki o grzechu. No, a to jest dopiero temat. Swego czasu słyszał wiele wyjaśnień, jak to grzech pojawił się na świecie. Tłumaczyli mu to opiekunowie sądowi, prawnicy i księża; wykładali teorię socjologiczne, teologiczne i ideologiczne. Nad niektórymi nawet warto było zatrzymać się na kilka chwil, lecz większość okazała się tak absurdalna (grzech pierwotny, grzech przeciw państwu), że śmiał się w twarz ich apologetom. Żadna z tych teorii nie była zresztą wiele warta.

Ale prowokowały do namysłu. Potrzebował czegoś, co by mu zajęło długie dni. I noce; kiepsko sypiał w więzieniu. To nie jego winy nie pozwalały mu zasnąć, lecz winy innych. W końcu on sam tylko handlował, dostarczając tego, na co akurat był popyt; pomniejszy trybik w konsumpcyjnej maszynie. Nie miał się, czego wstydzić. Lecz byli z nim inni - najwyraźniej wielu innych - których sny nie były tak kolorowe, a noce tak spokojne. Ci inni płakali, skarżyli się, przeklinali sędziów okręgowych i sędziego niebieskiego. Ich hałasy obudziłyby nawet trupa.

- Czy zawsze tak tu jest? - zapytał Billy po mniej więcej tygodniu. W którejś z cel tego korytarza szalał nowy więzień: w jednej chwili płakał, w następnej bluzgał.

- Tak. Przeważnie. Niektórzy muszą sobie powrzeszczyć. Inaczej mózg by im się zsiadł.

- Ale ty nie - dobiegł z dolnej pryczy łamiący się głos. - Ty tylko czytasz książki i trzymasz się z dala od kłopotów. Obserwowałem cię. Reszta cię nie obchodzi, co?

- Przeżyję - odpowiedział Cleve. - Nie mam żony, żeby przychodziła tu co tydzień i przypominała mi, co straciłem.

- Siedziałeś już?

- Dwukrotnie.

Chłopak zawahał się na-chwilę i zadał następne pytanie.

- Myślę, że wiesz co nieco o więzieniu?

- Noooo... nie piszę przewodników, ale coś rzeczywiście wiem - dziwne, że Tait zadaje takie pytania. - A co?

- Tak się zastanawiałem.

- Masz pytanie?

Tait milczał przez kilka sekund.

- Słyszałem, że... że tu kiedyś wieszali ludzi.

Cleve mógł się spodziewać po tym dzieciaku wszystkiego, tylko nie tego. Ale przecież już wcześniej zdecydował, że Billy Tait jest dziwny. Wstydlive spojrzenia rzucające kątem tych wodnistoniebieskich oczu, to, jak wpatrywał się w ścianę lub w okno -jak detektyw na miejscu morderstwa, rozpaczliwie szukający jakiegoś śladu.

- Chyba była tu kiedyś szubienica - powiedział Cleve. Znow zapadła cisza, przzerwana pytaniem rzuconym z największą lekkością, na jaką stać było chłopca.

- A jest?

- Szubienica? Nie wiem. Teraz już nie wiesz się ludzi, Billy. Nie wiedziałeś o tym?

Z dołu nie dobiegła go żadna odpowiedź.

- A właściwie, czemu pytasz?

- Przez ciekawość.

Racja, Billy był ciekawy. Sprawiało to dziwne wrażenie przy tym jego pustym spojrzeniu i skłonności do trzymania się na uboczu; i większość więźniów wołała się do niego nie zbliżać.

Zainteresował się nim tylko Lowell, a jego motywy były najzupełniej niedwuznaczne.

- Wypożyczysz mi swoją panią na popołudnie? - zapytał Cleve'a, kiedy czekali w kolejce po śniadanie. Tait, który stał wystarczająco blisko, by wszystko słyszeć, nie odezwał się ani słowem, milczał również Cleve.

- Słyszalesz? Zadałem ci pytanie.

- Słyszałem. Daj mu spokój.

- Wszyscy dzielimy się po równo - stwierdził Lowell. - Mogę ci zrobić przysługę.

Wymyślimy coś.

- Chłopak nie jest dla ciebie.

- No to zapytajmy jego - Lowell uśmiechnął się przez brodę. - I co powiesz, mały?

Tait obrócił się i spojrzał na Lowella.

- Powiem: nie, dziękuję.

- Nie, dziękuję - powtórzył Lowell i po raz drugi uśmiechnął się do Cleve'a, tym razem zupełnie bez humoru. - Dobrze go wytresowałeś. Czy umie siadać i prosić?

- Wynoś się, Lowell. Chłopak nie jest dla ciebie i to wszystko.

- Nie możesz go pilnować dwadzieścia cztery godziny na dobę - zauważył

Lowell. - Prędzej czy później musi stanąć na własnych nogach. Chyba, że lepiej mu idzie, kiedy klęczy.

Ta aluzja wywołała ryk śmiechu ze strony współmieszkańca z celi Lowella, Naylera. Cleve nie chciałby spotkać żadnego z nich oko w oko, ale w blefie był ostry jak brzytwa, więc użył blefu.

- Nie powinieneś ściągać na siebie kłopotów - powiedział Lowellowi. - Brodą możesz przykryć ograniczoną ilość blizn.

Lowell spojrzał na niego; wyraźnie nie było mu już do śmiechu. Nie potrafił stwierdzić, czy Cleve grozi mu na poważnie, a z pewnością nie zamierzał ryzykować głową.

- Lepiej miej oczy otwarte - powiedział tylko i nie dodał nic więcej.

O wymianie zdań przy śniadaniu nie wspominali aż do nocy, kiedy już zgaszono światło. To Billy ją przypomniał.

- Nie powinieneś tego zrobić - powiedział. - Lowell to groźny sukinsyn.

Słyszałem co mówią.

- Chcesz, żeby cię zgwałcili, czy co?

- Nie - odpowiedział Tait szybko. - Chryste, nie. Muszę trzymać formę.

- Nie utrzymasz żadnej formy, jeśli wpadniesz w łapy Lowella. Billy zszedł z pryczy i stanął pośrodku celi, zaledwie widoczny w mroku.

- Przypuszczam, że chciałbyś coś w zamian - powiedział. Cleve obrócił się na drugi bok i

spojrzał na odległą o metr, niewyraźną postać.

- Masz coś, czego mógłbym chcieć, mały?

- A czego chciał Lowell?

- Więc myślisz, że gra szła właśnie o to. Że chcę cię dla siebie?

- Owszem.

- Że zacytuję:, .Powiem: nie, dziękuję" - Cleve przewrócił się na drugi bok i leżał twarzą do ściany.

-Nie myślałem...

- Nie obchodzi mnie, co myślałeś. Po prostu nie chcę o tym słyszeć, dobrze?

Schodź z drogi Lowellowi i nie sprzedawaj mi tego gówna.

- Hej - powiedział cicho Billy - nie mów tak, dobrze? Proszę. Jesteś moim jedynym przyjacielem..

- Nie mam przyjaciół - powiedział Cleve do ściany. - Ja tylko chcę spokojnie żyć. Rozumiesz?

- Spokojnie żyć - powtórzył głucho Tait.

- Otóż to. A teraz... muszę się przespać.

Tait zamilkł i wrócił na dolną pryczę. Położył się, skrzypnęły sprężyny. Cleve leżał cicho i rozmyślał nad niedawną rozmową. Nie miał ochoty zadawać się z chłopakiem, ale być może wyraził się zbyt ostro. Cóż, nic się nie da zmienić.

Słyszał, jak Bili mruczy do siebie, prawie niesłyszalnie. Próbował podsłuchiwać.

Minęło kilka sekund, podczas których mocno wyęczał uszy, nim zorientował się, że chłopak odmawia modlitwę.

Tej nocy Cleve śnił. Rankiem nie pamiętał już swego snu, choć kiedy golił się i brał prysznic, przez głowę przemykały mu jego odpryski. Tego ranka dosłownie co chwilę coś: przewrócona solniczka na stole, krzyk dobiegający ze spacemiaka, przypominało mu jego sen, objawienie jednak nie nadchodziło. Przez cały czas był z tego powodu nietypowo napięty i zdenerwowany. Gdy Wesley, drobny falszerz, którego znał ze 'spędzonych tu już wakacji, podszedł do niego w bibliotece i zaczął

rozmowę jakby byli przyjaciółmi od serca, Cleve kazał gówniarzowi zamknąć pysk. Ale Wesley gadał dalej.

- Masz kłopoty.

- Doprawdy? Jakie?

- Ten twój chłopiec, Billy.

- Co z nim?

- Zadaje pytania. Narzuca się. Ludzie tego nie lubią. Mówią, że powinieneś wziąć go w garść.

- Nie jestem jego niańką. Wesley skrzywił się.

- Mówię ci to jako przyjaciel.

- Daj mi spokój.

- Nie bądź głupi, Cleveland. Robisz sobie wrogów.

- Doprawdy? Niby kogo?

- Lowell - odpowiedział natychmiast Wesley. - I Nayler. Różni ludzie. Tait im się nie podoba.

- A co im się właściwie nie podoba? - odszczeknął Cleve. Wesley chrząknął

cicho z dezaprobatą.

- Chciałem tylko pomóc. Tait jest chytry, jak pieprzony szczur. Jeszcze będą z tego kłopoty.

- Oszczędź mi proroctwa, dobrze?

Rachunek prawdopodobieństwa zmusza nawet najgorszego proroka, by od czasu do czasu miał rację, a to była najwyraźniej wielka chwila Wesieya. Dzień później, wracając z warsztatów, odzie ćwiczył swój intelekt zakładając kółka do plastikowych wózków, Cleve spotkał Mayflowera, czekającego na korytarzu.

- Smith, prosiłem cię, żebyś zaopiekował się Williamem Taitem - stwierdził szef strażników.- Ale ciebie głównie to obchodzi, co?

- Coś się stało?

- Oczywiście, głównie cię to obchodzi!

- Spytałem, co się stało? Sir?

- Nic strasznego. Jeszcze nie. Trochę go pobili, to wszystko. Wygląda na to, że Lowell ma na niego chrapkę. Mam rację? -Mayflower spojrział na Cleve'a, a kiedy nie otrzymał odpowiedzi, ciągnął dalej. - Zawiodłem się na tobie, Smith. Wydawało mi się, że pod powłoką twardej jest ktoś, na kim można polegać. Mój błąd..

Billy leżał na pryczy. Twarz miał w sińcach, oczy zamknięte. Nie? otworzył ich, kiedy wszedł Cleve.

- Wszystko w porządku?

- Jasne - odpowiedział cicho chłopak.

- Nic ci nie złamali?

- Przeżyję.

- Powinieneś zrozumieć....

- Posłuchaj! - Billy otworzył oczy. Źrenice miał jakby ciemniejsze, a może tylko tak się wydawało w tym świetle. - Żyję. W porządku? Nie jestem idiotą, wiesz?

Wiedziałem, na co się narażam, kiedy tu przychodziłem - mówił tak, jakby miał tu coś do gadania. - Poradzę sobie z Lowellem, więc nie martw się. - Przerwał, a później dodał - miałeś rację.

-, W czym?

- W sprawie przyjaciół. Nie mam przyjaciół. Jestem sam i ty jesteś sam, dobra?

Powoli mi to szło, ale już, co nieco kapuję. - Billy uśmiechnął się.

- Zadawałeś pytania - stwierdził Cleve.

- Tak? - odpowiedział Billy niedbale. - Kto ci to powiedział?

-, Jeśli masz jakieś pytania, pytaj mnie. Ludzie nie lubią wścibskich. Stają się podejrzliwi. A kiedy Lowellijemu podobni zabierają się do roboty, odwracają się plecami.

Nazwisko Lowella sprawiło, że Billy skrzywił się boleśnie i dotknął sińca na policzku.

-, Lowell jest trupem - mruknął cicho, prawie jakby mówił do siebie.

- Akurat - skomentował Cleve.

Spojrzenie, jakim obdarzył go Tait, mogłoby przeciąć stal.

- Wiem, co mówię -'powiedział bez śladu drżenia w głosie. -Lowell nie wyjdzie stąd żywy.

Cleve milczał. Chłopak musiał pokazać, jaki jest twardy, choć sprawiał tym żalosne wrażenie.

- , Co chciałeś wiedzieć, kiedy tak wścibiałeś wszędzie nosa.

- Nic takiego - odpowiedział, Billy. Odwrócił wzrok od Cleve'a i wpatrywał się w górną pryczę. Powiedział cicho - Chciałem wiedzieć, gdzie są groby. To wszystko.

- Groby?

- Gdzie chowano powieszonych. Ktoś powiedział mi, że tam, gdzie powieszono Crippena, rośnie teraz krzak róży. Słyszalesz coś o tym?

Cleve potrząsnął głową. Dopiero teraz przypomniał sobie, że chłopak pytał o szubienicę. A teraz groby. Billy spojrział na niego. Policzek puchł mu z minuty na minutę.

- Wiesz, gdzie one są, co Cleve? - Znów ta udana nonszalancja.

- Mogę się dowiedzieć, jeśli zrobisz mi tę grzeczność i powiesz, po co ci to potrzebne.

Billy wysunął się ze schronu swej pryczy. Popołudniowe słońce zataczało krótki łuk na malowanych ceglach, z których zrobiona była ściana celi. Świeciło słabo.

Chłopak opuścił nogi na podłogę i usiadł na krawędzi materaca, patrząc w światło tak, jak poprzedniego dnia.

- Mój dziadek - to znaczy ojciec mojej matki - został tu powieszony - powiedział cicho. - W 1937 roku. Edgar Tait. Edgar Saint Claire Tait.

- Wydawało mi się, że powiedzialesz, że był ojcem matki?

- Przyjąłem jego nazwisko. Nie chciałem nazwiska ojca. Nigdy nie należałem do ojca.

- Nikt nie należy do nikogo - odpowiedział Cleve. - Należysz do samego siebie.

- , Ale to nieprawda. - Bili nieznacznie wzruszył ramionami, wpatrując się w osłonecznioną ścianę. Mówił z absolutną pewnością i choć jego głos był miękki, stwierdzenie to nie podlegało najmniejszej dyskusji. - Należę do dziadka. Zawsze do niego należałem.

- Nie było cię jeszcze na świecie, kiedy go...

- To bez znaczenia. Przychodzimy i odchodzimy. To bez znaczenia.

Przychodzimy i odchodzimy, zastanawiał się Cleve. Czy Tait miał na myśli życie i śmierć? Nie mógł o to zapytać. Billy mówił cały czas, tym samym, cichym, lecz napiętym, głosem.

- Oczywiście, był winny. Nie w ten sposób, o którym myśleli, lecz winny.

Wiedział, czym jest i do czego jest zdolny; na tym polega wina, prawda? Zabił cztery osoby. A przynajmniej za to go powiesili.

- To znaczy, że zabił więcej?

Bili znów nieznacznie wzruszył ramionami, najwyraźniej cyfry nie miały żadnego znaczenia.

- , Ale nikt nie sprawdził, gdzie go złożono na wieczny spoczynek. To nie w porządku, co? Ich to chyba nic nie obchodziło. A rodzina była pewnie szczęśliwa, że się go pozbyła. Od początku myślała, że miał źle w głowie. Ale on nie miał źle w głowie. Wiem, że nie miał. Mam jego rękę, jego oczy. Tak mówiła mama. Opowiedziała mi o nim wszystko, wiesz, tuż przed śmiercią. Mówiła mi o tym, o czym nigdy przedtem nikomu nie opowiadała; mówiła mi o tym, dlatego, że mam takie oczy... -

przerwał i przyłożył dłoń do ust ..jakby drżące światło na ścianie zahipnotyzowało go, żeby się nie wygadał.

- , Co ci mówiła matka? - przycisnął Cleve. Billy sprawiał wrażenie, jakby rozważał różne odpowiedzi nim oferował tę jedną:

- Tylko tyle, że pod pewnymi względami jesteśmy podobni.

- To znaczy szaleni? - To nie był tylko żart.

- Coś takiego. - Bili nadal nie odrywał wzroku od ściany. Westchnął i pozwolił sobie na kolejne wyznanie. - Dlatego tu przyszedłem. Żeby dziadek wiedział, że nie został zapomniany.

- Przyszedłem? O czym ty mówisz? Zostałeś złapany i osądzony. Nie miałeś wyboru. Światło na ścianie zgasło, jakby przez słońce przesunęła się chmura. Billy spojrział na Cleve'a. Słońce świeciło tu, w jego oczach.

- Popelnilem przestępstwo, żeby tu przyjść - wyznał. - Z premedytacją. Cleve potrząsnął głową. Co za nieprawdopodobne stworzenie!

- Próbowałem wcześniej, dwukrotnie. Zabrało mi to trochę czasu. Ale w końcu się dostałem, prawda?

- Nie rób ze mnie durnia, Billy - ostrzegł Cleve.

- Nie robię. - Billy wstał. Wydawał się lżejszy, jakby opowiadając to wszystko zrzucił z siebie jakiś ciężar i nawet uśmiechał się wahające mówiąc - byłeś dla mnie dobry. Nie myśl, że o tym nie wiem. Jestem wdzięczny. A teraz - mówiąc to spojrział

Clevowi prosto w oczy chcę wiedzieć, gdzie są groby. Dowiedz się tego i już się do ciebie nie odezwę. Obiecuję.

Cleve nie wiedział niemal nic o więzieniu i jego historii, ale znał kogoś, kto wiedział. Był pewien człowiek nazwiskiem Biskup - tak zżyty ze współwięźniami, że nazwisko stało się jego przydomkiem - który często przebywał w warsztatach razem z Clevem. Biskup wychodził i wracał do więzienia przez większość ze swych ponad czterdziestu lat, karany głównie za drobne wykroczenia i, z całym fatalizmem jednonogiego, który poświęcił życie studiom nad monopedią, stał się ekspertem od więzień i systemu penitencjarnego. Niewiele informacji zaczerpnął z książek.

Większość jego wiedzy pochodziła od starych więziennych wyjadaczy, pragnących tylko przegadać długie godziny i - naturalną rzeczą koleją - Biskup stał się chodzącą encyklopedią zbrodni i kary. Ze swej wiedzy uczynił zawód i sprzedawał ją w starannie odmierzonych fragmentach; czasami jako geograficzną informację dla uciekiniera, czasami jako więzienną mitologię bezbożnemu współwięźniowi w poszukiwaniu miejscowego bóstwa. Cleve odszukał go i zapłacił mu: tytoniem i obietnicą przysług na życzenie.

-, Co mogę dla ciebie zrobić? - zapytał go Biskup. Był gruby, ale nienalany.

Cienkie jak słomka papierosy, które bez przerwy skręcał, ginęły w jego grubych paluchach rzeźnika, umazanych nikotyną na brązowo.

- Chcę się dowiedzieć wszystkiego o tych, których tu powieszono.

Biskup uśmiechnął się.

- Takie wspaniałe historie. I zaczął opowiadać.

W istotnych kwestiach Billy miał niemal zupełną rację. W Pantownville wykonywano wyroki śmierci aż do połowy stulecia, ale barak, w którym wieszano ludzi, dawno już został zburzony. W tym miejscu znajdowało się teraz Biuro Nadzoru Sądowego w pawilonie B., Jeśli chodzi o historię róż Crippena, to w niej także była prawda. Przed stojącą na terenie więzienia szopą, w której, jak poinformował Cleve'a Biskup, przechowywano narzędzia ogrodnicze, znajdował się mały skrawek trawy, pośrodku którego rósł krzak róż zasadzony (w tym momencie Biskup przyznał się, że nie potrafi rozróżnić rzeczywistości od legendy) celem upamiętnienia doktora

Crippena, powieszonego w 1910 roku.

-I tam są groby? - zapytał Cleve.

- Nie, nie - zaprotestował Biskup i jednym pociągnięciem zredukował o połowę kolejnego ze swych cieniutkich papierosów.

- Groby znajdują się przy murze, po lewej za szopą. Jest tam długi trawnik, musiałeś go zobaczyć.

- Bez nagrobków?

- Oczywiście. Tych grobów nigdy nie oznaczano. Tylko naczelnik wie, kto jest gdzie pochowany, a on i tak najprawdopodobniej zgubił plany. - Z kieszeni na piersiach swej więziennej koszuli Biskup wygrzebał puszkę z tytoniem i zaczął skręcać kolejnego papierosa z taką rutyną, że nie musiał nawet patrzeć na to, co robi.

- Nikomu nie wolno przyjść tam i oplakiwać pogrzebanych, rozumiesz? Co z oczu, to z serca, taki mieli pomysł. Ale, oczywiście, inaczej to wygląda. Ludzie zapominają premierów, ale pamiętają morderców. Spacerujesz sobie po trawniku, a dwa metry pod twymi stopami leżą najbardziej znani zabójcy, jacy kiedykolwiek stąpali po tej zielonej, przemilej ziemi. A nad nimi nie ma nawet krzyża. To zbrodnia, prawda?

- Wiesz, kto jest tam pochowany?

- Bardzo groźni dżentelmeni - odpowiedział mu Biskup, jakby z sympatii ostrzegał przed skutkami ich nieuczciwości.

- Słyszałeś o człowieku nazwiskiem Edgar Tait? Biskup uniósł brwi, czoło się mu pofałdowało.

- Święty Tait? Tak, oczywiście. Nietrudno go zapamiętać.

-, Co o nim wiesz?

- Zabił żonę, a później dzieci. Zakłuł ich nożem, jak mnie tu widzisz.

- Wszystkich?

Biskup wsadził świeżo skręconego papierosa między grube wargi-

- Może nie wszystkich. - Zmrużył oczy, starał się przypomnieć sobie szczegóły. - Może jedno z nich przeżyło. Zdaje się, że córka.

- Wzruszył ramionami, lekceważąc sprawę.- Niezbyt dobrze pamiętam ofiary.

Ale kto je pamięta? - Spojrzał tępyimi oczami w oczy Cleve'a. - Dlaczego akurat Tait tak bardzo cię interesuje? Powieszono go przed wojną.

- W tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym. Niewiele z niego zostało, co?

Biskup podniósł palec w ostrzegawczym geście.

- To nie tak. Widzisz, ziemia, na której zbudowano to więzienie ma pewne specjalne właściwości. Pogrzebane tu ciała nie gniją jak wszędzie indziej.

Cleve zerknął na Biskupa z niedowierzaniem.

- To prawda - potwierdził grubas łagodnie. - Dowiedziałem się tego z absolutnie pewnego źródła. Uwierz mi, ile razy musieli tu ekshumować zwłoki, zawsze znajdowali ciało w niemal doskonałym stanie. - Przerwał, żeby zapalić papierosa, zaciągnął się i wypuścił dym wraz z następnymi słowami. - Kiedy nadejdzie koniec świata, dobrzy ludzie z Marylebone i Camden Town wstaną przegnili do kości. A źli? Pobiegną na Sąd Ostateczny tak świeży, jak w dniu śmierci. - Ten perwersyjny obraz najwyraźniej go zachwycił. Okrągła twarz pomarszczyła mu się z radości i pofałdowała. - Ach, i kogo nazwą wtedy potępionym?

Cleve nigdy nie dowiedział się dokładnie, jakich argumentów użył Billy, by dostać pracę w grupie ogrodniczej; w każdym razie udało mu się ją dostać. Być może zwrócił się bezpośrednio do, Mayflowera, który z kolei wyjaśnił przełożonym, że chłopak jest wystarczająco pewny, by puścić go na świeże powietrze. Niezależnie od tego, jaki numer wyciął, w połowie tygodnia - zaraz po tym, jak Cleve poznał szczegóły dotyczące grobów - w chłodny kwietniowy poranek, Billy kosił trawę.

Wydarzenia tego ranka rozeszły się w postaci plotek już w czasie wolnym.

Cleve usłyszał tę historię z trzech niezależnych źródeł, z których żadnego nie było na miejscu wypadku. Opowieści różniły się między sobą pewnymi cechami indywidualnymi, ale niewątpliwie należały do tego samego gatunku. Fakty wyglądały jak następuje:

Grupa ogrodnicza, składająca się z czterech więźniów nadzorowanych przez jednego strażnika, poruszała się między barakami, przycinając trawę i pieląc grządki przed wiosennymi sadzeniami. Nadzór najwyraźniej nie był zbyt dokładny, bowiem minęło kilka minut, nim strażnik w ogóle zorientował się, że jeden z jego podopiecznych wymknął się z grupy i przepadł. Podniesiono alarm, rozpoczęto poszukiwania, nie musiano jednak szukać daleko. Tait nie próbował uciekać, a jeśli nawet próbował, to przeszkodził mu w tym jakiś atak, który całkowicie zbił go z nóg.

Znaleziono go (w tym momencie w opowieściach pojawiły się zasadnicze różnice) na dużym kawałku trawnika przy murze. Leżał na trawie. Niektóre z opowieści głosiły, że twarz miał czarną, leżał skulony i prawie odgryzł sobie język; inne, że leżał twarzą w dół, gadał do ziemi, płakał i mówił coś pieszczotliwym tonem. Wszyscy zgodzili się jednak, że chłopak postradał zmysły.

Takie plotki uczyniły z Cleve'a ośrodek zainteresowania, co go bynajmniej nie zachwyciło. Przez następny dzień nie miał prawie chwili dla siebie; wszyscy chcieli wiedzieć, jak to jest, kiedy dzieli się celę z wariatem. Cleve próbował wytłumaczyć, że nie ma nic do powiedzenia. Tait był idealnym współwięźniem, mówił; spokojnym, niewymagającym, niewątpliwie normalnym. Powtórzył to Mayflowerowi, a potem i doktorowi, kiedy przyciskali go następnego dnia. Nie puścił pary z ust na temat zainteresowania Taita grobami i specjalnie postarał się o spotkanie z Biskupem, by skłonić go do podobnej wstrzeźliwości w słowach. Biskup wyraził zgodę na jego prośbę pod warunkiem, że w odpowiednim czasie pozna całą historię, co Cleve obiecał mu z przyjemnością. Jak przystało na osobę, która przyznawała się do przynależności do stanu duchownego, Biskup zwykł był dotrzymywać słowa.

Billy znikł na dwa dni. W międzyczasie znikł także Mayflower, bez żadnego wytłumaczenia. Na jego miejsce, z pawilonu D, przyszedł mężczyzna nazwiskiem Devlin, poprzedzony przez falę plotek, z których wynikało, że litość nie jest dominującą cechą jego charakteru. Plotki te potwierdziły się podczas rozmowy, na którą Devlin wezwał Cleve'a w dniu powrotu, Billy'ego.

- Powiedziano mi, że wy i Tait jesteście blisko - stwierdził Devlin. Twarz miał mniej więcej tak wyrazistą jak bryła granitu.

- Niedokładnie, proszę pana.

- Nie mam zamiaru popełnić pomyłki Mayflowera, Smith. Jeśli o mnie chodzi, Tait to kłopoty. Mam zamiar obserwować go jak jastrząb, a kiedy mnie tu nie będzie, wy mnie zastąpicie, rozumiano? Wystarczy, żeby zrobił zezą, i przechodzi do historii.

Załapie się na pociąg duchów, nim zdąży pierdnąć. Czy jasno się wyrażam?

- Odwiedziłeś rodzinny grób, co?

Billy stracił w szpitalu na wadze, a jego chude ciało nie bardzo potrafiło pogodzić się z tą stratą. Koszula wisiała mu na ramionach, pasek spodni zapięty miał

na ostatnią dziurkę. To, że zeszczupłał, jeszcze bardziej podkreślało jego fizyczną delikatność; Cleve pomyślał, że by go znokautować wystarczyłoby pogłaskać po twarzy. Jego twarz zyskała za to wyraz rozpaczliwego napięcia; sprawiała wrażenie, że składa się wyłącznie z oczu, które nie rozświeślały się już w blasku słońca. Znikł z nich też sztuczny wyraz tępoty, zastąpiony niesamowitym skupieniem.

- Zadałem ci pytanie.

- Słyszałem cię - powiedział Billy. Dzień był pochmurny, ale chłopak i tak patrzył w ścianę. - Tak, jeśli musisz wiedzieć, odwiedziłem rodzinny grób.

- Devlin kazał mi cię obserwować. Chce cię stąd przenieść. Być może nawet do innego więzienia.

- Przenieść? - nagi strach w oczach Billego był tak intensywny, że po paru sekundach Cleve opuścił wzrok. - Do innego więzienia?

- Najprawdopodobniej.

-Nie mogą!

- Och, mogą. Nazywają to pociągami duchów. W jednej chwili jesteś tutaj, a w następnej już cię nie ma.

- Nie! - Dłonie chłopca zacisnęły się w pięści. Dostał dreszczy i przez chwilę Cleve bał się, że nastąpił drugi atak. Lecz Billy, najwyraźniej samym wysiłkiem woli, opanował drżenie, odwrócił się i spojrzał na współwięźnia. Guzy, które nabił mu Lowell, zbladły do jasnej żółci, ale wcale nie zamierzały zniknąć; nieogolone policzki pokryte miał rzadkimi, jasnobrudnymi włosami. Patrząc na niego, Cleve poczuł niepożądany przyływ troski.

-Mów.

-, Co mam ci powiedzieć? - zapytał Billy.

-, Co się zdarzyło na grobach.

- Zakręciło mi się w głowie. Zemdlałem. Ocknąłem się w szpitalu.

- Im też to powiedzialesz?

-, Bo to prawda.

- Słyszałem, co innego. Dlaczego nie powiesz mi, jak było naprawdę? Chcę, żebyś mi ufał.

- Ufam ci — powiedział chłopak. - Ale zrozum, muszę zachować tajemnicę. To sprawa między nim a mną.

- Między tobą i Edgarem? - zapytał Cleve, a Billy przytaknął skinieniem głowy. - Człowiekiem, który wymordował rodzinę, z wyjątkiem twojej matki?

Billy był najwyraźniej zdumiony zakresem wiedzy Cleve'a.

- Tak - powiedział po chwili namysłu. - Tak, zabił ich wszystkich. Zabilby i mamę, gdyby nie uciekła. Chciał wymazać rodzinę z powierzchni ziemi. Żeby nie został nikt ze złą krwią.

- To twoja krew jest zła?

Billy pozwolił sobie na najmniejszy z uśmiechów.

- Nie - powiedział. - Nie sądzę. Dziadek popełnił omyłkę. Czasy się zmieniły, nie?

To rzeczywiście szalenie, pomyślał Cleve. Billy zareagował na ten wyrok z szybkością błyskawicy.

- Nie zwariowałem. Powiedz im to. Powiedz Devlinowi i każdemu, kto zapyta.

Powiedz im, że jestem łagodny jak baranek. -W jego oczach płonął gniew. Nie było w nich nic z łagodności, ale Cleve nie wypowiedział tej myśli. - Nie mogą mnie przenieść, Cleve. Nie teraz, kiedy jestem już tak blisko. Mam tu coś do załatwienia. Coś bardzo ważnego.

- Robisz interesy ze zmarłym?

- Robię interesy ze zmarłym.

Niezależnie od tego, co wyznał Clevowi, Billy zachowywał i całkowite milczenie wobec reszty więźniów. Nie odpowiadał ani na pytania, ani na obelgi; poza pustej obojętności, którą przybrał, okazała się bezbłędna. Imponował Clevowi, który zdecydował, że chłopak ma przyszłość jako aktor, jeśli oczywiście nie zechce poświęcić się karierze profesjonalnego wariata.

Tylko napięcie, związane z koniecznością ukrywania niedawno zrodzonego poczucia konieczności osiągnięcia celu, zostawiało, coraz widoczniejsze oznaki: sińce pod oczami, mechaniczne ruchy, zamyślenie i kamienne milczenie. Doktor, do którego chodził Billy, rozpoznał objawy bezbłędnie, postawił diagnozę: depresja i ostra bezsenność, i zapisał środki uspakajające oraz nasenne. Billy dawał lekarstwa Clevowi twierdząc, że sam ich nie potrzebuje. Cleve był mu za to wdzięczny. Po raz pierwszy od miesiący sypiał dobrze. Nie przeszkadzały mu szlochy i krzyki współwięźniów.

A jego przyjaźń z chłopakiem, zawsze szczątkowa, z dnia na dzień ograniczała się do prostej uprzejmości. Cleve czuł, jak Billy całkowicie zamyka się w sobie, jak świat fizyczny coraz mniej go interesuje. Nie po raz pierwszy był świadkiem takiej ucieczki. Jego szwagierka, Rosanna, trzy lata temu zmarła na raka żołądka; choroba rozwijała się długo i - aż do ostatnich tygodni - stopniowo. Nie był z nią zaprzyjaźniony i być może właśnie ten brak cieplejszych uczuć spowodował, że - w odróżnieniu od reszty rodziny - mógł się jej przyglądać z dystansem. Zaskoczyło go, jak systematycznie Rosanna przygotowywała się na śmierć, jak ograniczała zasięg uczuć tak, że w końcu obejmowały tylko osoby najbliższe: dzieci i księdza. Inni, w tym także jej mąż od czternastu lat, zostali z tego kręgu wykluczeni.

Teraz dostrzegał ten sam spokój i oszczędność w Billyrn. Jak człowiek, który przygotowując się do przekroczenia bezwodnej pustyni, oszczędza każdą cząstkę energii i nie może pozwolić sobie, by marnować ją nawet jednym niepotrzebnym gestem, chłopak zamykał się w sobie. Było to aż niesamowite i Cleve coraz bardziej bał się przebywania z Billyrn w jednej celi o wymiarach cztery na dwa i pół metra. Zbyt przypominało to dzielenie z kimś celi śmierci.

Ulgę dawały mu tylko środki uspakajające. Billy chętnie i skutecznie czarował doktora i lekarstw mu nie brakowało. Gwarantowały Clevowi wspaniałe odpoczynek. I - przynajmniej przez kilka dni - nic mu się nie śniło.

A później przyśniło mu się miasto.

Ale miasto nie pojawiło się od razu. Najpierw zobaczył pustynię. Wielką, pustą przestrzeń niebieskoczarnego piasku, który ranił mu stopy przy każdym kroku, popychany zimnym wiatrem wypełniał nos, oczy, włosy. We śnie wiedział, że już tu kiedyś był. Jego senne ja samo

rozpoznawało monotony ocean nagich wydmy, pozbawiony śladów obecności roślin i ludzi. Lecz poprzednio przebywał tu z przewodnikami (a przynajmniej tak mu się zaczynało wydawać) a teraz był sam.

Chmury wisiały nad jego głową, ciężkie i ciemnoszare; słońce nie mogło się przez nie przedrzeć. Miał wrażenie, że godzinami szedł przez wydmy; ostry piasek rozkrwawił stopy, zasypywał ciało i nadawał mu odcień błękitu. Kiedy był już tak zmęczony, że nie mógł niemal zrobić kroku, zobaczył ruiny i poszedł w ich kierunku.

Nie była to oaza. Na ulicach nie znalazł niczego, świadczącego o szczęściu i o płonach: ani kwitnących drzew, ani szeleszczących fontann. Miasto było po prostu zbiorem domów lub kawałków domów - czasami całych pięter, czasami fragmentów mieszkań - stojących obok siebie w parodii miejskiej zabudowy. Panował tu architektoniczny miszmasz: piękne pałace w stylu angielskim stały koło groźnych bloków z powypalanymi mieszkaniami, obok których Cleve widział dom wyrwany z szeregowej zabudowy, doskonale zachowany (w oknie wciąż jeszcze siedział

porcelanowy pies) z przylegającym do niego luksusowym apartamentem z najwyższego piętra wieżowca. Wszystkie budynki ucierpiały podczas przenoszenia z ich właściwego miejsca: ściany były popękane, a przez szczeliny można było zajrzeć do wnętrza mieszkań, schody pięły się w niebo nie prowadząc nigdzie, wiatr otwierał i zamykał drzwi, przez które nigdzie się nie wchodziło ani z nikąd nie wychodziło.

Lecz było tu życie. Cleve o tym wiedział. Żyły tu nie tylko jaszczurki, szczury i motyle - wszystkie białe - które latały i ślizgały się przed Clevem, idącym po opustoszałych ulicach; żyli tu także ludzie. I chociaż nikogo nie widział, a w każdym razie nie podczas pierwszej wizyty, czuł, że każdy jego krok jest obserwowany.

Podczas drugich odwiedzin w mieście jego sennemu ja oszczędzono wędrówki po pustyni; Cleve od razu znalazł się w mieście. Jego nogi, prowadzone prostą drogą, szły swym własnym śladem z pierwszej wizyty. Tej nocy wiejący tu zawsze wiatr był

silniejszy. W jego podmuchach powiewały koronkowe firanki w jednym oknie, dzwoniło chińskie świecidelko zawieszone w innym. Wiatr niósł też głosy: potworne, obco brzmiące dźwięki, dobiegające z jakiegoś odległego miejsca, leżącego daleko za miastem. Słyszając te jęki i szlochy, przypominające odgłosy wydawane przez oszalałe dzieci, Cleve czuł wdzięczność dla ulic i budynków tylko za to, że je znał, bo nie ofiarowywały mu przecież żadnej pociechy. Nie miał najmniejszej ochoty, by gdzieś wejść, czy słyszał głosy, czy też ich nie słyszał; nie miał ochoty odkryć, co wyróżniło te fragmenty budynków tak, że zostały przeniesione ze swego normalnego otoczenia i stanęły wśród tej przewiewanej wiatrem pustki.

A jednak, gdy już raz znalazł się tam we śnie, jego umysł przenosił się tam noc po nocy; zawsze szedł, zawsze miał pokrwawione stopy, zawsze widział tylko szczury, jaszczurki i motyle; przy każdym progu leżały nawiane kupki czarnego piachu, czarny piach gromadził się w przedpokojach i pokojach, zawsze niezmiennych. Z tego, co udało mu się dojrzeć przez rozsunięte firanki lub rozwalone ściany wnioskował, że wnętrza te jakby zamarły w jednej, najważniejszej chwili: na stole, zastawionym dla trzech osób, pozostał niedojedzony obiad (nie pokrojony kurczak, ciągle parujące sosy), w łazience lał się prysznic i bezustannie huśtała lampa, w pokoju, który wyglądał jak gabinet prawnika coś, co mogło być małym pieskiem lub może peruką, poniewieralo się po pięknym dywanie, którego skomplikowany wzór był już na

wpół

wyżarty przez piach.

Tylko raz, Cleve widział w mieście innego człowieka, a był nim Billy. Do spotkania doszło w dziwnych okolicznościach. Pewnej nocy, śniąc o ulicach miasta, Cleve zaczął się budzić. Billy nie spał, stał pośrodku celi i przyglądał się przez okno jakiemuś światłu. Nie było to światło księżyca, lecz oświetlało go jak księżyc. Twarz Billy'ego obrócona była w stronę okna, usta miał otwarte, a oczy zamknięte. Cleve miał

tylko tyle czasu, by zauważyć trans, w jakim najwyraźniej znajdował się chłopak, nim zadziały środki i znów pogrążył się we śnie. Najwyraźniej jednak zabrał ze sobą ten fragment rzeczywistości, zgarnął chłopca w swój sen. Kiedy znów dotarł do miasta, Billy Tait już tam na niego czekał; stał na ulicy, twarz miał uniesioną ku ponuremu, zachmurzonemu niebu, usta otwarte i zamknięte oczy.

Ten obraz trwał tylko chwilę. W następnej chłopiec był już daleko, spod jego butów unosiły się w górę czarne chmury piasku. Cleve zawołał go, lecz Billy nadal uciekał, nie dbając o jego krzyki i - z tą niewytłumaczalną wszechwiedzą, którą przy-noszą sny - Cleve wiedział, dokąd zmierza. Tam, na granicę miasta, gdzie przerzedzały się domy i zaczynała pustynia. Może ma zamiar spotkać przyjaciół, których przywiał tu ten straszny wiatr. Nic nie mogło skłonić Cleve'a do pościgu, lecz nie chciał tracić kontaktu z jedynym człowiekiem, jakiego spotkał na razie na pustych ulicach. Zawołał

Billy'ego jeszcze raz, głośniej.

Tym razem poczuł czyjąś rękę na ramieniu i zadrżał ze strachu nim zorientował się, że jest w swej celi i że ktoś go budzi.

- Wszystko w porządku - powiedział Billy. - Coś ci się śniło. Cleve próbował otrząsnąć się z obrazu miasta, lecz przez kilka strasznych sekund sen zmieszał się z rzeczywistością i, patrząc na Billy'ego, Cleve widział, jak jego włosy rozwiewa wiatr, który nie mógł, nie miał prawa, wiać w zamkniętej celi.

- Coś ci się śniło - powtórzył chłopak. - Obudź się. Cleve siadł na pryczy, drżąc.

Miasto zniknęło z jego pamięci -już prawie całkiem znikło - lecz nim to się stało poczuł niewzruszoną pewnością, że Billy wiedział, z jakiego snu go budzi, że byli razem przez kilka bardzo krótkich chwil.

- Wiesz, prawda? - przemówił oskarżająco do bladej twarzy przy jego boku.

Billy sprawiał wrażenie zdumionego.

-, O czym ty mówisz?

Cleve potrząsnął głową. Im dalej odbiegał go sen, tym bardziej jego podejrzenia wydawały mu się nieuzasadnione. A mimo to, gdy spojrział na chudą dłoń chłopca, ciągle obejmującą jego ramię, spodziewał się dostrzec pod jego paznokciami piach miasta. Ale był tam tylko brud.

Wątpił długo po tym, gdy rozsądek powinien już wygnać mu z głowy wszystkie wątpliwości. Cleve zorientował się, że od tamtej nocy obserwuje Billy'ego znacznie bliżej, że czeka, aż nieostrożne słowo lub spojrzenie zdradzi mu naturę gry, która najwyraźniej się tu toczyła. Obserwacje te pozbawione były jednak sensu. Po tamtej nocy Billy stał się już całkiem niedostępny; stał się -jak Rosanna -zamkniętą księgą, niczym niezdradzającą natury swego tajemnego świata. Jedyłą, dość określną aluzją do wydarzeń tej nocy, była siła, z jaką przekonywał Cleve'a, że powinien koniecznie brać środki nasenne.

- Musisz spać — powiedział kiedyś, gdy wrócił ze szpitala z odnowionym zapasem. - Weź je.

- Ty też musisz spać - Cleve postanowił sprawdzić, jak daleko może się posunąć chłopiec. -

Już wcale tego nie potrzebuję.

- Ależ potrzebujesz - nalegał Billy, wyciągając przed siebie fiolkę. - Przecież wiesz, jak strasznie tu hałasują.

- Niektórzy mówią, że one powodują nałóg - oświadczył Cleve, nie przyjmując fiolki. - Obejdę się.

- Nie - stwierdził Billy i Cleve wyczuł w tym naleganiu siłę, która potwierdziła jego najgorsze podejrzenia. Chłopak chciałby Cleve brał narkotyki, zawsze tego chciał.

- Ja śpiam jak dziecko. Weź je proszę. Inaczej się zmarnują.

Cleve wzruszył ramionami.

-, Jeśli naprawdę chcesz. - Teraz, kiedy jego podejrzenia się potwierdziły, postanowił dać się w końcu przekonać.

- Pewnie.

- To dziękuję. — Wziął fiolkę.

Billy uśmiechnął się. W pewnym sensie od tego uśmiechu zaczęło się najgorsze.

Tej nocy na przedstawienie Billy'ego Cleve odpowiedział I swoim, wkładając sobie do ust środki nasenne, jak to robił zwykle, ale nie łykając ich. Kiedy już położył

się na prycy, twarzą do ściany, wyjął je i schował pod poduszką. Później udął, że zasnął.

Więzienne dni zaczynały się i kończyły wcześniej; między ósmą czterdzieści pięć a dziewiątą większość cel w pawilonie czwartym pogrążona już była w ciemności; więźniowie, zamknięci aż do świtu, zdani byli na własną pomysłowość. Ta noc była spokojniejsza niż większość innych.

Więzień z oddalonej o jedną celi został przeniesiony do pawilonu D; wzdłuż korytarza panowała cisza. Cleve czuł, że nawet bez pomocy pastylek może zapaść w sen. Z dolnej prycy nie dochodził go nawet najmniejszy dźwięk, co najwyżej ciche westchnienie. Nie sposób było domyśleć się, czy Billy zasnął, czy czuwa. Cleve nie odzywał się i nie poruszał, tylko od czasu do czasu zerkał na fosforyzującą tarczę zegarka. Minuty mijały w żółtym tempie i zaczynał się coraz poważniej niepokoić, że wkrótce sen, który udawał, zmieni się w sen prawdziwy. Właśnie się tym martwił,

kiedy rzeczywiście zasnął.

Obudził się po dłuższym czasie. Leżał chyba w tej samej pozycji - Miał przed oczami ścianę; obdrapana farba uczyniła z niej mapę jakiegoś nieznanego terytorium.

Potrzebował kilku minut, by zorientować się, gdzie jest. Z dolnej prycy nie dobiegał go najdrobniejszy dźwięk. Starając się zamaskować ten gest tak, by wyglądał na ruch śpiącego człowieka, Cleve podniósł rękę do oczu i spojrział na bladozielone cyfry zegarka. Za pięć druga. Do świtu jeszcze ładne parę godzin. Przez pełny kwadrans leżał w pozycji, w której się obudził, nasłuchując pilnie każdego rozlegającego się w celi dźwięku, próbując zlokalizować Billy'ego. Nie chciał na razie przewrócić się na drugi bok i przyjrzeć się celi, ze strachu, że na jej środku chłopiec będzie stał tak, jak to się zdarzyło tej nocy, kiedy śnił o mieście.

Noc była cicha, ale przecież nie była to martwa cisza. Słyszał dźwięk kroków; ktoś spacerował po celi bezpośrednio nad jego celą;

w rurach szumiała woda, na Caledonian Road wyla syrena. Cleve nie mógł tylko zlokalizować Billy'ego. Jakby Billy nawet nie oddychał.

Minął kolejny kwadrans i Cleve poczuł, że ogarnia go znana ociężałość; jeśli jeszcze przez chwilę będzie leżał nieruchomo, z pewnością zaśnie i kiedy się obudzi, będzie już ranek. Jeśli ma się czegoś dowiedzieć, musi przewrócić się na drugi bok i spojrzeć. Zdecydował, że rozsądnie będzie unikać gwałtownych ruchów i obrócić się tak naturalnie, jak to tylko możliwe. I zrobił to, mruczając, jak we śnie i starając się odegrać jak najbardziej przekonujące przedstawienie. Kiedy obrócił się całkowicie, przykrył twarz dłońmi, by nie można było dostrzec błysku jego oczu, i spojrział.

Cela wydawała się pogrążona w mroku głębszym niż tej nocy, kiedy Billy stał patrząc w okno. A jeśli chodzi o chłopca, to nie było go widać. Cleve szerzej otworzył oczy przykryte palcami i obejrzał celę dokładnie, jak to tylko było możliwe.

Coś tu się nie zgadzało, ale z początku nie mógł dojść, co. Leżał nieruchomo kilka minut, próbując przyzwycząić oczy do panujących ciemności. Oczy nie chciały się jednak przyzwycząić. To, na co patrzył, pozostało niejasne, jak obraz pokryty tak grubą warstwą brudu i werniksu, że jego treść pozostaje ukryta. A jednak wiedział -

wiedział - że cienie w rogach celi i po jej przeciwległej stronie nie są puste. Bardzo chciał skończyć z oczekiwaniem, powodującym gwałtowny łomot serca, bardzo chciał podnieść głowę z twardej poduszki i wywołać z cieniów Billy'ego, lecz rozsądek doradził mu inaczej. Leżał, więc nieruchomo, pocił się i czekał.

Dopiero teraz zaczął się orientować, co właściwie nie zgadza się w obrazie, który ma przed oczami. Cienie leżały tam, gdzie nie powinny leżeć; kryły ścianę, na którą powinno padać słabe światło z okna. W jakiś sposób, pomiędzy oknem i ścianą, światło zostało zatrzymane i nikło. Cleve zamknął oczy dając mózgowi szansę na przemyślenie i odrzucenie tej możliwości. Kiedy je znów otworzył, setce zabiło mu jak szalone. Zamiast zblednąć, cienie jeszcze się pogłębiły.

Nigdy jeszcze nie bał się tak, jak teraz; chłód, jaki ogarnął jego wnętrza nigdy jeszcze nie był tak potężny. Całą siłę woli musiał poświęcić na to, by równomiernie oddychać i nie poruszyć rękami. Instynkt podpowiadał mu, że powinien zwinąć się i ukryć twarz w dłoniach, jak dziecko. Dwie myśli go przed tym powstrzymały:

pierwsza, że najłżejszy ruch może zwrócić na niego niepożądaną uwagę i druga, że Billy jest tu gdzieś, w celi, i być może żywa ciemność zagraża również jemu.

I wtedy, z dolnej pryczy rozległ się głos chłopca. Billy mówił cicho, prawdopodobnie po to, by nie obudzić współwięźnia. Mówił także niesamowicie przyjaźnie. Nawet przez chwilę Cleve nie miał złudzeń, że chłopiec przemawia we śnie; nie mógł się już dłużej oszukiwać. Billy zwracał się do ciemności; co do tego niesamowitego faktu nie było żadnych wątpliwości.

-...boli... - mówił, jakby próbował kogoś o coś oskarżyć. - ...nie powiedziałaś, że będzie tak boleć.

Czy to tylko wyobraźnia, czy też naprawdę upiór z cieni rozrósł się trochę w odpowiedzi, jak wypuszczona przez ośmiornicę plama czarnej cieczy? Co za potworny strach

Chłopiec znów coś powiedział. Mówił tak cicho, że Cleve zaledwie go rozumiał.

- ...to musi być szybko... - w wypowiadającym te słowa głosie słychać było naleganie. - ...nie boję się. Nie boję.

I znów cień drgnął. Tym razem, w samym jego środku, Cleve dostrzegł jakąś niewyraźną postać. Poczul ucisk w gardle, pod językiem zagnieździł mu się krzyk, tak strasznie pragnący wydostać się na wolność.

- ...czego tylko możesz mnie nauczyć... - mówił teraz Billy-...szybko...

Słowa rozlegały się i cichły, ale Cleve prawie ich nie słyszał. Całą uwagę poświęcił zasłonie cienia i postaci - utkanej z ciemności - która poruszała się w cieniu.

To nie była żadna iluzja. Był tam człowiek, a raczej toporna kopia człowieka, stworzona z ulotnej substancji i przez cały czas usiłująca się rozpląnąć; można by pomyśleć, że za każdym razem przyjęcie ludzkiej postaci kosztuje ją wiele wysiłku. Nie potrafił rozróżnić rysów jej twarzy, ale widział wystarczająco wiele, by wyczuć deformacje ukazywane dumnie, jak cnoty. Twarz przypominała tacę przegniłych owoców, miękkich, pękających; tu wybrzuszała się jakby gniazdem much, tam zapadała aż do próżnego wnętrza. Jakim cudem chłopak mógł spokojnie rozmawiać z czymś takim? A jednak, mimo całej obrzydliwości, stworzenie to miało w sobie jakąś gorzką godność, a w jego oczach i w bezzębnym O ust była wściekłość.

Billy wstał nagle. Ten gwałtowny ruch, nieoczekiwany po tylu cichych słowach, omal nie wyrwał krzyku z gardła Cleve'a. Udało mu się jednak przelknąć ten krzyk i niemal zamknął oczy, patrząc przez rzęsy na to, co się miało zdarzyć.

Billy znów coś mówi, tym razem tak cicho, że o podsłuchaniu nie mogło być nawet mowy. Ruszył w stronę cieni, zasłaniając ciałem stojącą pod ścianą postać.

Cela była wystarczająco szeroka, by zrobić w niej dwa, najwyżej trzy kroki, lecz dzięki jakiemś naciągnięciu praw fizyki wydawało się, że chłopiec odszedł na pięć albo może i sześć kroków od pryczy. Oczy Cleve'a rozszerzyły się. Wiedział, że nikt nie będzie go teraz obserwował. Cień i jego wyznawca zajmowali się wyłącznie sobą i na tym skupiona była cała ich uwaga.

Postać Billy'ego była mniejsza niż wydawałoby się możliwe, biorąc pod uwagę rozmiary celi; sprawiało to wrażenie, jakby przekroczył jej granice i znalazł się w jakimś innym wymiarze. I dopiero teraz, szeroko otworzywszy oczy, Cleve zrozumiał, co widzi. Mrok, z którego powstał gość chłopca; składał się z cienia chmur i piasku; za jego plecami, zaledwie widoczne w przeklętej ciemności lecz łatwe do rozpoznania dla kogoś, kto już tam był, stało miasto z jego snów.

Billy podszedł do swego mistrza. Stworzenie górowało nad nim, cienkie i wątle, lecz aż promieniujące mocą. Cleve nie wiedział, dlaczego i po co Billy mu się oddał, ale teraz, kiedy już się to stało, zaczął się martwić o bezpieczeństwo chłopaka. Obawa o własne bezpieczeństwo przykuła go jednak do pryczy. Wlej właśnie chwili zorientował się, że nigdy nie kochał nikogo - ani kobiety, ani mężczyzny - na tyle, by pójść za nim w cień tego cienia. Ta myśl sprawiła, że poczuł się straszliwie samotny; w tym samym momencie zdał sobie, bowiem sprawę i z tego, że nikt, choćby wiedział, jak on udaje się w tę krainę przeklętych, nie zrobiłby ani kroku, by go z niej wydostać.

Obaj, i on, i chłopiec, byli straconymi duszami.

Pan Billy'ego podniósł teraz swą niekształtną głowę i nieustanny wiatr, przewiewający te smutne ulice, ożywił jego grzywę. Wiatr przyniósł także dźwięk tych samych głosów, które Cleve słyszał wcześniej: krzyki szalonych dzieci, coś pomiędzy szlochem a wyciem. Jakby ośmielona przez te głosy, postać z cieni wyciągnęła ręce i objęła, otaczając go chmurą mroku. Chłopiec nie bronił się przed jej uściskiem, raczej wydawało się, że go odwzajemnia. Cleve nie potrafił już wytrzymać widoku tej straszliwej czułości, zamknął oczy, a kiedy je otworzył - po kilku sekundach? kilku minutach? -spotkanie było najwyraźniej zakończone. Stwór z cienia

rozpadał się, odrzucając niepewną iluzję spójności. Jego fragmenty jak śmieci uniósł wiatr.

Rozpadnięcie się stwora było najwyraźniej sygnałem do zakończenia całej sceny; pył i odległość już pożerały domy i ulice. Nim ostatni z fragmentów postaci zabrał wiatr, miasto znikło Clewowi z oczu; sprawiło mu to wielką przyjemność. Rzeczywistość, nawet ponura, lepsza była od obrazu tej pustki. Cegła po cegle, malowana ściana znów zyskała na solidności i Billy, wyzwolony z ramion swego mistrza, znów znalazł

się wewnątrz zwykłej, normalnej celi, wpatrzony w widoczne za oknem światło.

Tej nocy Cleve już nie zasnął. Prawdę mówiąc, leżąc na QQ, twardym materacu, wpatrzony w stalaktyty zwisającej z sufitu farby, myślał, czy kiedykolwiek zdola jeszcze pograżyć się w bezpiecznym śnie.

Dzień objawił się jak aktor na scenie; oferował światu światło, tak nonszalancko jak handlarz tandetę, zawsze skłonny oszalać klienta i odwracać jego uwagę. Lecz pod tą błyszczącą powierzchnią rzeczy było drugie dno, którego nawet słońce - tak lubiące miłość tłumów — nie potrafiło ukryć. Większość ludzi, oślepiąca blaskiem nigdy go nie zauważała. Lecz Cleve poznał już ciemność, w snach spacerował nawet wśród niej, i chociaż oplakiwał utratę niewinności wiedział, że nie uda mu się nigdy wrócić w światło i jego gabinet luster.

Jak tylko mógł próbował ukryć tę zmianę przed Billyrn; wcale, nie marzył, by chłopiec domyślił się, że został podsłuchany. Ale tej zmiany ukryć się nie dało.

Następnego dnia Cleve jak umiał udawał normalne zachowanie, ale nie potrafił ukryć zdenerwowania. Wypływało z niego poza jakąkolwiek świadomą kontrolą, jak pot przez pory skóry. Billy wiedział - co do tego nie było najmniejszej wątpliwości. Billy wiedział.

I nie miał najmniejszego zamiaru ukrywać swych podejrzeń. Kiedy, po pracy, powrócili do celi, natychmiast przystąpił do rzeczy.

-, Co się dziś z tobą działo!?

Cleve zajął się prześcielaniem pryczy. Bał się nawet spojrzeć na Billy'ego.

- Nic - odpowiedział. - Po prostu nie czuję się najlepiej. To wszystko.

- Źle spałeś? - pytał dalej chłopak. Cleve czuł, jak jego oczy przewiercają mu kark.

- Nie. - Mówił powoli, zaprzeczenie nie powinno być zbyt gwałtowne. - Wziąłem twoje pastylki. Jak zawsze.

- To dobrze.

Rozmowa się skończyła i Cleve mógł w ciszy dokończyć prześcielanie pryczy.

Nie mógł jednak przeciągać tej pracy w nieskończoność. Wreszcie skończył i odwróciwszy się, zobaczył, że Billy siedzi przy małym stoliku, trzymając w ręku jedną z jego książek. Przewracał niedbale strony, po uprzednich podejrzaniach nie pozostało nawet śladu. Cleve był jednak wystarczająco mądry, by nie ufać pozorom.

-, Dlaczego to czytasz? - zapytał Billy.

- Zabijam czas - stwierdził Cleve i zniszczył cały efekt swych wysiłków włączając na pryczę i układając się na niej na wznak.

- Nie. Nie pytam, dlaczego czytasz książki. Pytam o to, dlaczego czytasz takie książki? One wszystkie są o grzechu..

Cleve ledwie usłyszał pytanie. Kiedy się położył, aż zbyt żywo stanęła mu przed oczami scena z poprzedniej nocy. Uświadomił sobie, że właśnie w tej chwili ciemność jest o krok bliżej świata. Poczul, jak żołądek próbuje wydostać się na wolność przez gardło.

- Słyszales?

Cleve przytaknął cicho.

- No, więc, dlaczego takie książki? O potępieniu i w ogóle?

- Nikt inny nie wypożycza ich z biblioteki. - Cleve miał kłopoty z wyrażeniem pewnych swych myśli. Inne, których nie wolno mu było wyrazić, przysłaniały wszystko.

- Ty w to nie wierzysz?

- Nie - odpowiedział Cleve. - Nie wierzę w ani jedno słowo. Chłopak umilkł na chwilę. Cleve nie przyglądał mu się, ale słyszał jak odwraca kartki. Później padło kolejne pytanie, tym razem wypowiedziane cicho, jak na spowiedzi. - Czy ty się kiedyś bałeś?

To wytrąciło Cleve'a z jego transu. Rozmowa zesza wreszcie z książek na znacznie stosowniejszy temat. Po co Billy miałby pytać o strach, gdyby sam nie był przestraszony?

- A czego miałbym się bać? - zapytał z kolei Cleve. Kątem oka dostrzegł, że chłopiec zadrzał, nim udzielił mu odpowiedzi.

- Czegoś, co się może zdarzyć -jego głos był głuchy, bez wyrazu. - Czegoś, na co nie masz żadnego wpływu.

- Oczywiście. - Cleve nie miał najmniejszego pojęcia, dokąd może prowadzić ta rozmowa. - Tak, jasne. Czasami się boję.

- I co wtedy robisz?

- A co można zrobić? - Głos Cleve'a był równie cichy jak głos Billy'ego. -

Przestałem się modlić w dniu śmierci ojca.

Usłyszał cichy trzask: to Billy zamknął książkę. Odwrócił głowę na tyle, by móc zerknąć na chłopca, który nie potrafił całkiem ukryć podniecenia. On się naprawdę boi, pomyślał Cleve, i nie bardziej ode mnie pragnie nadejścia nocy. Myśl o tym, że boją się obydwaj, jakoś dodała mu odwagi. Być może chłopiec nie należał jeszcze w całości do krainy mroku, może uda mu się go nawet przekonać, by zszedł z drogi prowadzącej w dół, w koszmar.

Usiadł na pryczy. Jego głowę dzieliło od sufitu zaledwie kilka centymetrów.

Billy otrząsnął się z zamyślenia i spojrzał na niego. Twarz miał białą, drżał w niej każdy mięsień. Cleve wiedział, że teraz jest właściwy czas na porozmawianie z chłopcem, teraz, nim zgasną światła na korytarzu i cele pogrążą się w mroku. Wtedy za późno już będzie na wyjaśnienia. Miasto ogarnie chłopca i żadne prośby do niego nie dotrą.

- Mam sny - powiedział Cleve. Billy nie zareagował. Po prostu patrzył przed siebie, tępo. - Śni mi się miasto.

Chłopak ani drgnął. Najwyraźniej nie miał zamiaru dobrowolnie oferować żadnych wyjaśnień. Trzeba go było do tego zmusić.

- Wiesz, o czym mówię? Billy potrząsnął głową.

- Nie — stwierdził pogodnie. - Mnie nic się nigdy nie śni.

- Wszystkim coś się śni.

-, Więc ja po prostu nie pamiętam snów.

- A ja pamiętam - stwierdził Cleve. Teraz, kiedy już poruszył tę sprawę, nie miał zamiaru pozwolić, by Billy wykręcił się sianem. -Ty tam jesteś. W tym mieście.

Teraz chłopiec drgnął. Zaledwie widocznie, ale wystarczająco, by Cleve nabral pewności, że nie marnuje czasu.

- , Co to za miasto, Billy?

- A skąd niby mam wiedzieć? - odparł Tak, spróbował się roześmiać i zrezygnował z wysiłków. - Ja tam nic nie wiem. To twój sen.

Nim zdołał odpowiedzieć, usłyszał głos jednego ze strażników, idącego korytarzem i informującego więźniów, że powinni układać się do snu. Już niedługo zgaśnie światło i mała cela zostanie zamknięta na dziesięć godzin. A w celi będzie on, Billy i upiory.

- Zeszłej nocy... - powiedział Cleve, bojąc się wyznać bez przygotowania to, co widział i słyszał, ale jeszcze bardziej bojąc się spędzić kolejną noc na granicy miasta, sam w ciemności. - Zeszłej nocy widziałem... - znów przerwał. Dlaczego zawiodły go słowa? -Widziałem..

- , Co widziałeś? - zapytał chłopiec. Twarz miał nieruchomą, a jeśli poprzednio był w jego głosie ton strachu, to teraz nie pozostał po nim nawet ślad. Być może on też usłyszał głos strażnika i zorientował się, że nic już nie można zrobić, że nie ma sposobu na powstrzymanie nadejścia nocy.

- , Co widziałeś? Cleve westchnął.

- Matkę - powiedział.

Ulga, którą odczuł Billy, objawiła się tylko w najdrobniejszym z uśmiechów, który wykrzywił mu wargi.

- Tak, widziałem matkę. Jak żywą.

- I to cię zdenerwowało, prawda?

- Tak to bywa ze snami. Strażnik doszedł do celi B.3.20.

- Gaszenie świateł za dwie minuty - powiedział i poszedł dalej.

- Powinieneś brać więcej tych pigulek - doradził Cleve'owi Billy, odkładając książkę i ruszając w stronę pryczy. - Będziesz jak ja. Żadnych snów.

Przegrał. Cleve, mistrz blefu, przegrał z blefującym szczeniakiem i teraz musiał ponieść konsekwencje klęski. Leżał, patrząc w sufit, licząc sekundy do zgaszenia światła, a na dolnej pryczy jego towarzysz rozbierał się i wślizgiwał pod prześcieradło.

Cleve ciągle miał czas, by wyskoczyć z pryczy i zawołać strażnika; miał czas, by walić głową w kraty póki ktoś nie przyjdzie. Lecz co niby miałby powiedzieć na poparcie swej historyjki? Że miał zły sen? - a kto ich nie ma? - że boi się ciemności? -

a kto się jej nie boi? Roześmieliby mu się w twarz i kazaliby mu pójść do łóżka, zostawiając go bez żadnej ochrony; a chłopiec i jego pan już czekali na niego przy ścianie. Taka taktyka nie gwarantowała bezpieczeństwa.

Nie gwarantowała go także modlitwa. Powiedział Billy'emu prawdę, dał sobie spokój z Bogiem, kiedy jego modlitwy o życie ojca nie zostały wysłuchane. Z takiego lenistwa, bogów bierze się ateizm; nie umiał wznieść w sobie światełka wiary niezależnie od tego, jak silny był strach.

Myśl o ojcu w nieunikniony sposób doprowadziła do myśli o dzieciństwie; nie sposób znaleźć tematu, który łatwiej odwróciłby umysł od każdego lęku... z wyjątkiem tego. Kiedy światła w końcu zgasły, przerażony mózg Cleve'a poszukał oczywiście ucieczki we wspomnieniach. Serce zwolniło, palce przestały mu się trząść i w końcu Cleve zapadł w sen.

To, co mogło odwrócić uwagę jego świadomości, nie działało jednak na podświadomość. Kiedy już zasnął, słodkie wspomnienia znikły, dzieciństwo odeszło w przeszłość i Cleve znów maszerował przez sen na pokrwawionych stopach.

Tym razem znalazł się na granicy miasta. Tej nocy nie przeszedł doskonale sobie znanej drogi koło angielskiego pałacu i przyległych do niego domów, lecz maszerował na granicy miasta, gdzie wiatr był silniejszy a głosy brzmiały wyraźniej.

Chociaż w każdej chwili spodziewał się spotkać Billy'ego i jego mrocznego towarzysza, nie widział nikogo. W drodze towarzyszyły mu tylko motyle, świecące jak tarcza jego zegarka. Obsiadały mu włosy i ramiona gęsto jak konfetti, a później odlatywały.

Doszedł do samej granicy i zatrzymał się, obserwując pustynię. Chmury, gęste i ciemne jak zawsze, poruszały się na niebie majestatycznie, jak wcielenie bóstwa.

Pomyślał, że dziś głosy wydają się bliższe, a ich brzmienie nie jest już tak przygnębiające. Nie miał tylko pewności, czy zmieniły się one, czy jego stosunek do nich.

A kiedy tak stał, obserwując wydmy i niebo, oczarowany tym, jak dalece pozbawione są one jakiegokolwiek wyrazu, usłyszał dźwięk i obrócił się. Zobaczył

mężczyznę, wychodzącego z miasta i idącego w jego kierunku, ubranego z pewnością w swój najlepszy, niedzielny garnitur. Mężczyzna niósł nóż, a na ostrzu jego noża była krew, krew była także na jego rękach i z przodu, na koszuli. Nawet we śnie, uodporniony na wszystkie potworności, Cleve poczuł strach i cofnął się o krok, gotów powiedzieć coś na swą obronę. Wydawało się jednak, że uśmiechnięty mężczyzna wcale go nie zauważył, po prostu ominął go i szedł dalej, w głąb pustyni, odrzucając po drodze nóż, jakby przekroczył jakąś niewidzialną granicę. Dopiero teraz Cleve zorientował się, że inni przed nim robili już to samo i że na granicy miasta leżą narzędzia mordu: noże, sznury, (była tam nawet ludzka ręka, odcięta w nadgarstku); większość niemal całkiem zasypana przez piach.

Wiatr znów przyniósł głosy: fragmenty bezsensownych piosenek, wybuchy histerycznego śmiechu. Cleve oderwał wzrok od piasku. Wygnany z miasta mężczyzna oddalił się na jakieś sto metrów i stał teraz na szczycie jednej z wydm, najwyraźniej na coś czekając. Głosy rozlegały się coraz donośniej. Cleve poczuł nagły niepokój.

Ilekoć był w mieście i słyszał ten straszny wrzask, przed jego oczami pojawiał się obraz istot, zdolnych wydawać takie dźwięki i był to obraz tak potworny, że aż mroził

krew. Czy zdoła teraz stać nieruchomo czekając, aż pojawią się upiory? Ciekawość zwyciężyła rozsądek. Wpatrzył się w krawędź zbocza, zza którego miały pojawić się potwory. Serce mu waliło, ale nie mógł odwrócić wzroku. Mężczyzna w niedzielnym garniturze zdjął marynarkę. Odrzucił ją i zaczął rozwiązywać krawat.

Cleve miał wrażenie, że właśnie dostrzegł coś wśród wydm; wrzaski zmieniły się w oszalałe z radości wycie. Patrzył, zmagając się z nerwami, które próbowały go zdradzić, zdecydowany poznać strach we wszystkich jego wcieleniach.

I nagle, ponad tę wściekłą muzykę, wzbil się czyjś krzyk; krzyk mężczyzny, piskliwy, pełen szalonego przerażenia. Nie urodził się tu, w mieście snu, lecz w tej innej fikcji, w której grał jakąś rolę i której nazwy nie potrafił sobie przypomnieć. Cleve zwrócił całą swą uwagę na wydmy, zdecydowany obejrzeć do końca, co za straszliwy akt zjednoczenia ma właśnie miejsce. Wrzask z tego nienazwanego „gdzieś” wznosił

się jednak do niesamowitego, wściekłego krzyku, a potem zaraz ucichł. Jego miejsce zajął dźwięk dzwonek; alarm dzwonił znacznie bardziej przeraźliwie niż kiedykolwiek.

Cleve poczuł, jak sen zaczyna odpływać.

- Nie... - wychrypiał - ...chcę zobaczyć...

Wydmy zaczęły się poruszać - i poruszyła się także jego świadomość, z miasta wróciła do celi. Protesty nie zdały się na nic. Miasto i pustynia zbladły i znikły. Cleve otworzył oczy. W celi nadal było ciemno, dzwonek alarmu dzwonił coraz głośniej. Z cel poniżej i powyżej jego celi niosły się krzyki, krzyczeli także strażnicy, niepewni co się stało, domagający się wyjaśnień.

Przez chwilę Cleve leżał na pryczy nieruchomo, marząc by -nawet teraz - móc powrócić w krainę snu. Lecz to okazało się niemożliwe, dzwonki dzwoniły zbyt przeraźliwie, rodząca się w celach histeria zataczała coraz szersze kręgi. Przyznał się do klęski i usiadł, całkowicie rozbudzony.

- Co się dzieje? - zapytał Billy'ego.

Lecz chłopca nie było na zwykłym miejscu przy ścianie. Zasnął - przynajmniej raz i mimo tego całego hałasu.

- Billy?

Cleve wychylił się, spojrział w dół. Dolna prycza była pusta. Prześcieradła i koc leżały na niej, rozrzucone.

Zeskoczył z pryczy. Jeden rzut oka wystarczyłby obejrzeć całą celę; nie było gdzie się ukryć. Lecz Tait znikł. Czy przeniesiono go, gdy spał? Nie było to tak całkiem niemożliwe; to przed tym przestrzegal Devlin - kłopotliwego więźnia przenoszono bez żadnych wyjaśnień. Nie słyszałby kiedykolwiek dokonywano tego w nocy, ale wszystko musi się kiedyś zdarzyć po raz pierwszy.

Cleve podszedł do drzwi, starając się zrozumieć coś z wrzasków, ale nie potrafił zrozumieć niczego. Najprawdopodobniejszym wyjaśnieniem była bójka między dwoma więźniami,

Kiedy tak stał przy drzwiach z nadzieją, że pojawi się przed nimi strażnik, poczuł nagłą zmianę w powietrzu. Tak delikatna, że najpierw wcale jej nie zauważył.

Dopiero, kiedy podniósł rękę, chcąc przetrzeć zaspane oczy, zorientował się, że ramiona ma gęsto pokryte gęsią skórką.

Za plecami usłyszał oddech, lub raczej dźwięk będący straszliwą parodią oddechu.

Chciał powiedzieć „Billy”, ale nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Gęsia skórka dotarła aż na kark; dostał dreszczy. Mimo wszystko cela wcale nie była pusta; na tej maleńkiej przestrzeni znalazł się obok niego także ktoś inny.

Zebrał całą swą odwagę, całą siłę woli, i odwrócił się. W celi panował głębszy mrok niż wtedy, gdy się obudził, a powietrze było gęste jak welon. Ani śladu Billy'ego.

Ani śladu nikogo.

A później znów rozległ się dźwięk i przyciągnął Cleve'a uwagę do dolnej pryczy.

Przestrzeń wokół niej była czarniejsza od nocy -jak cień przy ścianie - zbyt czarna i zbyt ulotna, by mogła być dziełem natury. Dobiegał z niej chrypliwy oddech, brzmiały jak ostatnie tchnienie astmatyka. Cleve zorientował się, że mrok w celi brał swój początek właśnie stąd, z wąskiej przestrzeni nad pryczą Billy'ego; cień wylewał się na podłogę i jak mgła unosił w górze.

Cleve wyczerpał już wszystkie zapasy strachu. W ciągu kilku poprzednich dni zużył je w snach i snach na jawie; pocił się, zamarzał, żył na granicy tego, co może znieść normalny człowiek, i przeżył. Teraz, choć ciało pokryte miał ciągle gęsią skórką, nie czuł paniki. Był spokojniejszy niż kiedykolwiek; najnowsze wydarzenia mogły się zdarzyć w innym świecie. Nie będzie się kulił pod drzwiami. Nie zasłoni oczu i nie będzie się modlił o nadejście poranka,

bowiem gdyby to zrobił, któregoś dnia po obudzeniu odkryłby, że jest martwy i nigdy nie poznałby źródła swego cierpienia.

Wziął głęboki oddech i podszedł do pryczy. Prycza zaczęła drżeć. Ktoś, leżący na niej i ukryty przed jego wzrokiem, poruszał się tam gwałtownie.

- Billy - powiedział Cleve.

Cień poruszył się. Otoczył jego stopy, podniósł się ku jego twarzy; pachniał deszczem i kamieniem, strachem i chłodem.

Stał nie dalej niż o metr od pryczy i ciągle nie mógł niczego dostrzec; cień był zbyt czarny. Pozbawiony widoku, Cleve sięgnął ku pryczy. Przed tym natręctwem cień rozstąpił się jak dym ujawniając postać, która rzuciła się po materacu.

Oczywiście, leżał tam Billy, a jednak nie całkiem Billy. Może był to Billy z przeszłości, lub może taki, jakim dopiero miał się stać. Jeśli prawdą było to ostatnie, Cleve nie miał ochoty żyć w przyszłości, która potrafiła rodzić takie potworności. Tam, na dolnej pryczy, leżało coś ciemnego i straszliwie zniekształconego; coś, co przybierało postać na jego oczach, co powstawało z cieni. W płonących ślepiach stwora, w rzędzie cienkich, ostrych zębów było coś ze wściekłego lisa; w pozycji, w której leżał, zwinięty i skurczony, przypominał przewróconego na grzbiet żuka, grzbiet był bardziej skorupą niż ciałem i mógł się wywodzić tylko z mroków koszmaru. Trwał proces przemiany. Cleve obserwował właśnie rozpad obecnej postaci stwora. Zęby wydłużały się, a rosnąc traciły na realności; ich materia rozplywała się i nikła jak mgła; pokrzywione członki, wierzgające w powietrzu, zmieniały się w galaretę. A spod mknącego kształtu bestii wylaniał się duch Billy'ego Taita z otwar-tymi, belkoczącymi w strasznym bólu ustami; Billy musiał walczyć, by zaistnieć. Cleve pragnął sięgnąć ręką w ten wir i pomóc mu, lecz wyczuł, że proces ma własny rytm i jakakolwiek interwencja mogłaby mieć fatalne skutki. Więc tylko stał i patrzył, jak chude, blade członki Billy'ego i jego podnoszący się ciężko i równie ciężko opadający żołądek z wysiłkiem wylaniają się spod tego potwornego kształtu. Jako ostatnie znikły płonące oczy, wypadły z oczodołów miliardem lśniących kawałków i odleciały wraz z czarną mgłą. I w końcu Cleve mógł dostrzec twarz Billy'ego, a na niej ciągle jeszcze widoczne ślady poprzedniego „ja”. A kiedy znikły i one, i znikł cień, na pryczy leżał po prostu Billy, nagi, dyszący z wysiłku i z udręki.

Spojrzał na Cleve'a. Jego twarz nie miała żadnego wyrazu.

Cleve przypomniał sobie, jak Billy skarżył się stworzeniu z miasta: „... to boli...”

- przecież tak mówił, prawda? - „... nie mówiłeś mi, jak bardzo to będzie boleć...”. Tę prawdę trudno byłoby przeoczyć. Ciało chłopca wyglądało jak pobojuwisko, tylko kości i pot; nie sposób było wyobrazić sobie coś obrzydliwszego. Ale przynajmniej było to ciało człowieka.

Billy otworzył usta. Wargi miał miękkie, lśniące, jak pomalowane szminką.

- No i... - powiedział i przerwał. Oddychał ciężko, cierpiał. -...co teraz zrobimy?

Przemówił i tego było mu już za wiele. Z głębi jego gardła dobył się bulgot i Billy przycisnęł dłoń do ust. Cleve musiał się odsunąć; chłopiec wstał z pryczy i zataczając się podbiegł do stojącego w kącie wiadra, pełniącego funkcję kibla. Nie zdążył jednak; fontanna płynu, która przez zasłonę z palców wydobyla mu się z ust, trafiła w podłogę. Gdy Billy wymiotował, Cleve odwrócił

wzrok; przygotował się na przyjęcie fali smrodu, z którym będzie musiał żyć, aż rano

strażnicy otworzą celę. Lecz w powietrzu rozszedł się nie zapach wymiocin, lecz inny, słodszy i bardziej mdlący.

Zdumiony, Cleve spojrział na skuloną w rogu postać. Między jej stopami, na podłodze, stały kałuże ciemnego płynu; ten sam płyn ściekał po jej nogach. Można go było rozpoznać nawet w mroku celi. Krew.

Nawet w najlepiej prowadzonych więzieniach bójka może wybuchnąć - i wybuchła - bez ostrzeżenia. Stosunki między dwoma więźniami, zamkniętymi na ograniczonej przestrzeni przez szesnaście z każdych dwudziestu czterech godzin, zawsze pozostają do pewnego stopnia tajemnicą. Lecz, i wiedzieli o tym zarówno więźniowie, jak i strażnicy, między Lowellem i Naylerem nie było sporów, a nim rozległ

się krzyk, w ich celi panowała cisza

- żadnej kłótni, żadnych podniesionych głosów. Co mogło skłonić Naylera, by nagle zaatakował i po prostu zaszlachtował Lowella, a potem zadał sobie śmiertelne rany, stało się przedmiotem dyskusji zarówno w jadalni, jak i na spacemiaku. Najpierw zadawano sobie pytanie, dlaczego, lecz później wyparło je pytanie jak? Plotki informujące, jak po wszystkim wyglądało ciało Lowella, przekraczały granice wyobraźni; szokowały nawet mężczyzn, przywykłych do nagłych wybuchów gwałtu. Lowell nie był

postacią popularną, ten oszust zbyt często popisывał się swą siłą, ale nigdy nie zrobił niczego, co mogłoby usprawiedliwić to, co go spotkało. Jego ciało zostało po prostu wypatroszone, wylupiono mu oczy i wyrwano genitalia. Nayler, jedyny, który mógł tego dokonać, rozszarpał sobie brzuch. Leżał teraz na oddziale intensywnej opieki medycznej; prognozy nie były optymistyczne.

Więzienie ogarnęła taka fala plotek i oburzenia, że Cleve'owi łatwo było zejść ludziom z oczu na cały następny dzień. On także miał coś do powiedzenia, ale kto miałby mu uwierzyć? Ledwo sam sobie wierzył. Tak naprawdę, w ciągu całego dnia -

kiedy od czasu do czasu wracały do niego migawki z tego, co zdarzyło się w nocy -

Cleve zapytywał sam siebie, czy przypadkiem jednak nie oszalał. Ale normalność to pojęcie względne, prawda? szaleństwo jednego człowieka może być środkiem, prowadzącym innego do celu. Jedno w każdym razie Cleve wiedział na pewno: widział

transformację Billy'ego Taita. Trzymał się tej pewności z siłą zrodzoną z rozpacz.

Gdyby przestał wierzyć świadectwu własnych oczu, straciłby ostatnią swą ochronę przed ciemnością.

Po łaźni i śniadaniu wszystkich więźniów skierowano z powrotem do cel; praca, spacer - i w ogóle wszystko, co powodowało, że więźniowie musieli przechodzić korytarzem zostało odwołane, gdy celę Lowella najpierw badano i fotografowano, a później myto. Billy zjadł śniadanie, a później przespał calutki ranek; spał tak głęboko, że bardziej przypominało to śmierć niż sen. Kiedy obudził się na obiad, był tak szczery i radosny, jakim Cleve nie widział go od tygodni. Opowiadał coś wesoło sprawiając wrażenie jakby nie był świadomy tego, co stało się nocą. Po południu Cleve zdecydował się powiedzieć mu prawdę.

- Zabijeś Lowella - stwierdził. Nie miał, po co udawać niewiedzy; jeśli nawet chłopak nie pamiętał jeszcze tego, co zrobił, to z pewnością sobie przypomni. A gdy już sobie przypomni, to jak długo potrwa nim uświadomi sobie, że Cleve obserwował jego przemianę? Lepiej wyznać prawdę od razu.

- Widziałem, jak się zmieniasz...

Najwyraźniej nie zrobił na Billy'rn wielkiego wrażenia.

- Tak. Zabiłem Lowella. Dziwisz się? - To pytanie, które samo wywoływało setki innych pytań, zadane zostało lekko, jakby odpowiedź nikogo nie interesowała.

-, Co się z tobą stało? - pytał dalej Cleve. - Widziałem, cię... tam... - dodał, przerażony samym wspomnieniem, wskazując na dolną pryczę. - Nie byłeś człowiekiem.

- Nie chciałem, żebyś się o tym dowiedział. Dałem ci pastylki, prawda? Nie powinieneś mnie szpiegować.

- Poprzedniej nocy - mówił Cleve - też nie spałem. Billy mrugnął oczami jak oszłomiony ptak, głowę miał lekko przekrzywioną.

- Jesteś durniem - powiedział. - Jakim ty jesteś durniem!

- Czy ci się to podoba, czy nie, ta cała sprawa dotyczy także i mnie, wiesz? Mam sny.

- Tak? - blade czoło przecięła zmarszczka. - Tak. Śnisz miasto, prawda?

-, Co to za miejsce, Billy?

- Przeczytałem kiedyś coś takiego: „Umarli mają swoje drogi”. Znasz to? No, więc... oni też mieszkają w miastach.

- Umarli? Masz na myśli jakieś miasteczko duchów?

- Nigdy nie chciałem, żebyś się w to wplątał. Byłeś dla mnie lepszy niż wszyscy.

Przecież uprzedziłem cię, że mam tu interes do załatwienia.

- Z Taitem?

- Zgadza się.

Cleve miał ochotę się roześmiać. Cała ta opowieść - miasteczko umarłych? -

wydawało się stekiem bzdur. A jednak jego zmordowany umysł nie podsunął mu ani jednego bardziej prawdopodobnego wyjaśnienia.

- Dziadek zabił swoje dzieci - mówił Billy - ponieważ nie chciałby odziedziczyć to po nim następnego pokolenie. Późno się o wszystkim dowiedział, wiesz? Zorientował

się, że różni się od zwykłych ludzi dopiero wtedy, kiedy miał już żonę i dzieci. Był inny.

Ale nie chciał tego, co mu dał los i nie chciałby jego dzieci i wnuki miały tę samą moc.

Zabiłby się i skończył całą sprawę, ale mojej matce udało się uciec. Nim zdążył ją odnaleźć i zabić, został aresztowany.

-I powieszony. I pogrzebany. Zniknął.

- Powieszony, pogrzebany, nie zniknął. Nikt nie znika, Cleve. Nigdy.

- Przyszędłeś tu, żeby go odszukać?

- Nie tylko. Chciałem, żeby mi pomógł. Kiedy miałem dziesięć lat zorientowałem się, co potrafię. Nie całkiem świadomie, ale miałem talent. I bałem się. Oczywiście, że się bałem, to było dla mnie coś nieznanego, coś straszego.

- Ta przemiana... umiałeś to robić?

- Nie. Tylko wiedziałem, że mogę. Jestem tu, żeby dziadek mnie nauczył. Żeby pokazał mi jak. Nawet teraz... - Billy spojrział na swe chude ramiona -...kiedy on mnie uczy ...ból jest niemal nie do zniesienia.

- To, po co to robisz?

Chłopiec spojrział, na Cleve'a, zdumiony.

- Żeby nie być sobą; by stać się mgłą i cieniem. By zostać kimś strasznym. -

Wydawał się być szczerze zdziwiony jego niedomyślnością. — A ty byś tego nie zrobił? Cleve potrząsnął głową.

- To, czym stałeś się zeszłej nocy, było potworne. Billy przytaknął mu w milczeniu.

- Dziadek też tak myślał. Podczas procesu nazwał się odmieńcem. Oczywiście nie wiedzieli, o czym mówi, ale tak właśnie powiedział.

Wstał i powiedział: „Jestem pomiotem Szatana” - Billy uśmiechnął się do tej myśli - „Jestem pomiotem Szatana, na miłość boską powieście mnie i pogrzebcie!”

Teraz zmienił zdanie. Nasza era jest stara i zmęczona; potrzeba jej nowych plemion. -

Spojrzał przenikliwie na Cleve'a. — Nie bój się, nie skrzywdzę cię, jeśli nie będziesz chlapał językiem. Nie zrobisz tego, prawda?

- A co mógłbym powiedzieć, żeby nie wyjść na szaleńca? - głos Cleve'a był łagodny. - Nie, nie będę chlapał językiem.

- To dobrze. Za jakiś czas wyjdę stąd, a potem ty wyjdiesz. I będziesz mógł zapomnieć.

- Bardzo w to wątpię.

- Kiedy już odejdę, nie będziesz nawet śnił. Dzielisz moje sny tylko, dlatego, że sam masz słaby talent. Uwierz mi. Nie masz się, czego bać.

- Miasto...

- Co z miastem?

- Gdzie są jego mieszkańcy? Nigdy nikogo nie widziałem. Nie, to nie całkiem prawda. Widziałem raz mężczyznę z nożem... odchodził na pustynię...

- Nie potrafię ci pomóc. Sam jestem tam gościem. Wiem tylko tyle, co mówi mi dziadek; że miasto zamieszkują umarli. Cokolwiek tam widziałeś, zapomnij. To nie twój świat. Ty jeszcze nie umarłeś.

*

*

*

Czy to rozsądnie wierzyć umarłym na słowo? Czy sam akt śmierci oczyścił ich ze zdolności czynienia wszelkiego rodzaju zła tak, że granice przekroczyli jako święci?

Cleve nie potrafił uwierzyć w coś aż tak naiwnego. Znacznie bardziej prawdopodobne, że przeszli przez wrota śmierci ze wszystkimi swymi talentami, tymi dobrymi i tymi złymi, i czynią z nich użytek jak potrafią. Toteż w raju szewcy nadal będą pracować, prawda? Głupio byłoby sądzić, że po śmierci zapomną, jak robić buty.

Więc być może Edgar Tait kłamał, mówiąc o mieście. Być może Billy nie dowiedział się o nim wszystkiego? Co z głosami na wietrze? Co z mężczyzną, który rzucił nóż na ziemię wręcz usłaną narzędziami mordu, a później poszedł Bóg wie gdzie? Co to był za rytuał?

Teraz - kiedy zapasy strachu już się wyczerpały i nie pozostał mu nawet fragment nieskażonej rzeczywistości, którego można byłoby się trzymać - Cleve nie widział powodu, by nie udać się do miasta dobrowolnie. Cóż mogło tam być takiego, na tych pełnych pyłu uliczkach, czego potworność przewyższałaby to, co widział na dolnej pryczy i co przydarzyło się Lowellowi i Naylerowi. Przy tych okropieństwach miasto wydawało się rajem. Jego puste uliczki i place wręcz promieniowały spokojem i Cleve miał wrażenie, że tam wszystko się skończyło, że gniew i rozpacz minęły, że wnętrza (łazienka z prysznicem, z którego leciała

woda, wypełniona po brzegi filiżanka) widziały najgorsze i pragnęły już tylko trwać niezmiennie przez tysiąclecia.

Kiedy nadeszła noc, a wraz z nią sen, i znów trafił do miasta, wszedł w nie nie jak żołnierz na terytorium wroga, lecz jak gość pragnący odprężyć się przez chwilę w miejscu, które zna zbyt dobrze, by się zgubić, lecz nie aż tak dobrze, by się nim znudzić.

Było tak, jakby - po raz pierwszy nie wyczuwając strachu - miasto się dlań otworzyło. Idąc po ulicach, jak zwykle na okrwawionych stopach, Cleve odkrył, że drzwi są szeroko otwarte, że zasłony na oknach zostały odsunięte. Nie odrzucił tego zaproszenia, lecz zaczął dokładniej oglądać domy i mieszkania. Im bliżej się im przyglądał, tym jaśniej widział, że nie były takimi oazami spokoju, jak mu się wydawało na początku. W każdym po kolei odkrywał oznaki gwałtu, który dopiero, co miał tam miejsce. Czasami było to tylko przewrócone krzesło lub ślad na podłodze tam, gdzie obcas buta poślizgnął się w kałuży krwi, gdzie indziej ślady ukazywały się znacznie bardziej dobitnie. Zakrwawiony młotek leżał wśród rozłożonych na stole gazet. Odkrył

pokój, w którym zerwano podłogę; obok dziury leżały podejrzanie błyszczące paczki zapakowane w czarną folię. W innym stało roztrzaskane lustro, a gdzieś jeszcze, koło kominka, w którym ciągle płonął ogień, leżała sztuczna szczeka.

Wnętrza te były sceną morderstwa. Ofiary znikły - być może mają swoje miasto, pełne pomordowanych dzieci i pozabijanych przyjaciół — zostawiając miejsca zamarłe w czasie, takie, jakimi były w tej pierwszej, szalonej chwili po dokonaniu zbrodni.

Cleve szedł ulicami - turysta doskonały - i oglądał kolejne sceny, rekonstruując w myślach godziny, które poprzedzały to, co widział teraz sztuczne i zamarłe w czasie.

Tutaj zginęło dziecko; jego łóżeczko leżało przewrócone. Tutaj ktoś zabił kogoś we śnie; poduszka była zakrwawiona, a na dywanie dostrzegł siekierę. Czy więc było to miasto przeklętych? Czy mordercy musieli spędzać jakąś część wieczności (a być może całą wieczność) w pokoju, w którym dokonali morderstwa?

Mieszkańców nie dostrzegł, choć logika wskazywała, że muszą być gdzieś blisko. Czyżby dano im zdolność niewidzialności, by mogli się uchronić przed oczami wścibskich, śniących turystów, takich jak on? Czy też płynący w tym „nigdzie” czas zmienił ich tak, że nie byli już istotami z krwi i ciała, lecz stali się częściami swych cel; krzesłem, figurką z porcelany? Nagle przypomniał sobie spotkanego na granicy mężczyznę w niedzielnej garniturze, z rękami ociekającymi krwią. Mężczyzna poszedł

na pustynię. I nie był niewidzialny. - Gdzie jesteście? - zapytał, stojąc na progu groźnie wyglądającej kuchni; drzwi piekarnika były otwarte, w zlewie leżały naczynia, leciała na nie woda. - Pokażcie się!

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch; odwrócił się i spojrzał w stronę drzwi.

Dostrzegł mężczyznę. Zorientował się, że był on tu przez cały czas, lecz stał się tak doskonałą częścią pokoju, że nie sposób go było dostrzec, póki nie poruszył oczami i nie skierował wzroku na Cleve'a. Cleve drgnął, myśląc z niepokojem, że w każdym z pokoiów, do których do tej pory zajrzał, znajdował się najprawdopodobniej jeden lub więcej morderców, a wszyscy nieruchomi i przez to nie do odkrycia. Kiedy zorientował

się, że został zauważony, mężczyzna wyszedł z ukrycia. Był w późnym średnim wieku i zaciął się rano przy goleniu.

- Kim jesteś? - zapytał. - Widziałem cię już wcześniej. Przechodziłeś tędy.

Mówił cicho i smutno. Cleve pomyślał, że wcale nie wygląda na mordercę.

- Jestem tylko gościem - powiedział mężczyźni.

- Tu nie przychodzą goście — odparł mężczyźni. - Tylko przyszli mieszkańcy.

Cleve zmarszczył czoło, próbując rozszyfrować jego intencje. Lecz we śnie myślał powoli i

nim zdołał odgadnąć zagadkę tych słów gospodarza, zabrzmiały nowe słowa.

- Czy ja cię znam? Mam wrażenie, że ciągle zapominam coś nowego. To bez sensu, prawda?

Jeśli zapomnę, nigdy stąd nie wyjdę, prawda?

- Wyjdę? - powtórzył Cleve.

- Zamień się ze mną - powiedział mężczyźni, poprawiając perukę.

- I dokąd pójdziesz?

- Z powrotem. Zrobić to jeszcze raz. Mężczyźni przeszedł przez pokój i podszedł do

Cleve'a. Wyciągnął ręce, obracając je dłońmi do góry. Dłonie miał

poparzone.

- Możesz mi pomóc - powiedział. - Mogę załatwić interes z najlepszymi z nich.

- Nie rozumiem.

Mężczyzna był najwyraźniej pewien, że padł ofiarą blefu. Jego górna warga, nad którą tkwił przyczerniony wąsik, skurczyła się.

- Ależ rozumiesz. Doskonale rozumiesz. Oczywiście chcesz się sprzedać, tak jak wszyscy. Temu, kto daje najwięcej. Kim jesteś, zawodowym mordercą?

Cleve potrzęsął głową.

- Ja tylko śnię - odparł. Mężczyzna nagle spokorniał.

- Bądź mi przyjacielem - poprosił. - Nie mam tu żadnych wpływów, nie tak, jak inni. Wiesz, niektórzy przychodzą tu i nie ma ich już po kilku godzinach. Prawdziwi zawodowcy. Załatwiają to sobie z góry. Ale ja? Ja popełniłem zbrodnię w afekcie.

Przybyłem tu nieprzygotowany. Zostanę, póki nie ubiję interesu. Proszę, bądź mi przyjacielem.

- Nie mogę ci pomóc. - Cleve nie był nawet pewny, o co właściwie prosi go ten mężczyzna. Zabójca skinął głową.

- Jasne, że nie. Nie spodziewałem się...

Odwrócił się tyłem do Cleve'a i podszedł do piekarnika. Ciepło, które z niego biło, stworzyło w powietrzu miraż chochlika. Nawet na niego nie patrząc, morderca położył poparzoną dłoń na drzwiczkach i zamknął je. Otworzyły się prawie natychmiast.

- Czy wiesz, jaki miły jest zapach palonego mięsa? - powiedział i znów spróbował zamknąć piekarnik. - Nikt nie powinien mnie obwiniać! Doprawdy!

Cleve przestał wsłuchiwać się w ten bełkot. Jeśli nawet był w nim jakiś sens, to i tak najprawdopodobniej nie warto go teraz dochodzić. Cała ta gadanina o zamianie i o ucieczce z miasta, to wszystko przekraczało jego zdolność pojmowania.

Poszedł dalej, choć nie miał już ochoty zaglądać do wnętrza domów i mieszkań.

Zobaczył wszystko, co chciał zobaczyć. Z pewnością zbliżał się już ranek i lada chwila na korytarzu zadzwoni dzwonek. Pomyślał, że mógłby nawet sam się obudzić, że to wystarczy na jedną noc.

Kędy tylko ta myśl przemknęła mu przez głowę, dostrzegł dziewczynkę. Stała na najbliższym skrzyżowaniu i miała siedem, może osiem lat. Nie mogła być morderczynią. Cleve ruszył w jej kierunku. Zawstydzona, a może powodowana mniej niewinnym uczuciem, dziewczynka skręciła w prawo i zaczęła biec. Pobiegnął za nią. Nim znalazł się na skrzyżowaniu, mała była już daleko i nadal uciekała w głąb ulicy. Nie zniechęcił się. Jak to bywa, kiedy śni się taki pościg, do uciekającego stosowały się inne prawa fizyki niż do goniącego. Dziewczynka biegła lekko, a Cleve przedzierał się przez powietrze z największym trudem, jakby biegł w beczce z miodem. Nie zatrzymał

się jednak, lecz biegł tam, dokąd go prowadziła. Wprędce oddalił się od tego fragmentu miasta, który znał, i trafił do labiryntu podwórek i alejek; wszystkie, jak przypuszczał, były kiedyś świadkami rozlewu krwi. Inaczej niż na głównych ulicach, w tym getcie' nie było żadnych określonych całości, lecz wyrwane z rzeczywistości fragmenty: kawałek trawnika, bardziej czerwonego niż zielonego, rusztowanie, z którego jeszcze sterczał wąż, kopczyk ziemi. I, w końcu, normalna ściana.

Dziewczynka doprowadziła go do ślepego zaułka i znikła, zostawiając go sam na sam ze zwykłym, ceglanym, zaniedbanym murem. Było w nim tylko jedno małe okienko. Zajrzał przez zbrojone szkło, zabrudzone od zewnątrz ptasimi odchodami i odkrył, że patrzy w głąb jednej z cel więzienia w Pantenville. Poczul, jak wywraca mu się żołądek. Co to za zabawa: wyprowadzili go z celi w to miasto snów tylko po to, by znów zamknąć go w celi? Lecz wystarczyło mu kilka sekund by stwierdzić, że to nie jego cela. Ta cela należała do Lowella i Naylera. Na ścianach, przyklejone skeczem, wisiały ich obrazki, ich była krew, która spryskała podłogę, ścianę, pryczę i drzwi.

Kolejna scena morderstwa. - Jezu Wszchemogący - szepnął Cleve. - Billy... Oderwał wzrok od okna i odwrócił się. U jego stóp, na piasku, kopulowały jaszczurki, wiatr, wiejący w zaułkach, przywiał motyle. Przyglądał się, jak tańczą, kiedy w pawilonie B zadzwonił dzwonek, oznajmiając nadejście ranka.

Była to pułapka. Jej mechanizm pozostawał nieznanym, – lecz Cleve nie miał wątpliwości, dla kogo ją zastawiono. Billy znajdzie się w mieście, i to wkrótce.

Pomieszczenie, w którym popełnił morderstwo, już na niego czekało - ze wszystkich obrzydliwych miejsc, które Cleve widział w tym mieście składającym się wyłącznie z kostnic - ta mała, zalana krwią cela była najgorszym.

Chłopiec nie miał najmniejszego pojęcia, dokąd zmierza. Nie mógł mieć, bo dziadek okłamał go nie mówiąc mu całej prawdy, nie uświadamiając mu, jakich to specjalnych kwalifikacji wymaga się tu od mieszkańców. Właściwie, dlaczego to zrobił? Cleve wrócił myślami do niejasnej rozmowy, którą prowadził, o powrocie.

Edgar Tait żałował za grzechy, prawda? Mijały lata i zdecydował, że nie jest jednak pomiotem Szatana i że wcale nie najgorzej byłoby powrócić na świat. Billy miał mu jakoś posłużyć do powrotu.

- Dziadek cię nie lubi - powiedział chłopiec, kiedy wrócili do celi po obiedzie.

Już drugi dzień praca i spacer były odwołane; toczyło się śledztwo z udziałem więźniów, dotyczyło śmierci Lowella i - od wczesnych godzin porannych - także Naylera.

- Doprawdy? A to, czemu?

- Mówi, że jesteś zbyt dociekliwy. W mieście. Cleve siedział na górnej pryczy, Billy na krześle przy ścianie. Miał podkrążone oczy i drżał na całym ciele, nieznacznie, lecz wyraźnie.

- Umrzesz - stwierdził Cleve. Coś takiego można powiedzieć tylko wprost. - W mieście... widziałem... Billy potrząsnął głową.

- Czasami mówisz jak wariat. Dziadek twierdzi, że nie powinienem ci ufać.

- To, dlatego, że się mnie boi.

Billy roześmiał się pogardliwie. Był to nieprzyjemny dźwięk; Cleve domyślił się, że chłopiec naśladuje dziadka.

- On się nikogo nie boi - odszczeknął.

- Boi się tego, co zobaczę. Tego, o czym ci powiem.

- Nie - głos Billy'ego brzmiał absolutną pewnością.

- Kazał ci zabić Lowella, prawda? Billy podniósł nagle głowę.

-, Dlaczego tak mówisz?

- Wcale nie chciałeś go zabić. Może przestraszyć ich obu, ale nie zabić. To już był pomysł dziadka.

- Nikt mi nie mówi, co mam zrobić - wzrok chłopca był zimny jak lód.-Nikt.

- W porządku - ustąpił Cleve. - Więc może cię przekonał, co? Wytłumaczył ci, że naraziłeś rodzinny honor. Coś takiego? - Trafił, Billy drżał teraz wyraźniej.

- Więc? A co, jeśli tak?

- Widziałem, dokąd pójdziesz, Billy. Miejsce już na ciebie czeka. - Billy patrzył na Cleve'a, ale nie próbował mu przerywać. - W tym mieście mieszkają tylko mordercy.

Dlatego twój dziadek tam trafił. A jeśli znajdzie zastępcę, jeśli zdoła przekroczyć jakąś granicę światów i dokonać kolejnej zbrodni, będzie wolny.

Billy wstał. Twarz wykrzywił mu szalony gniew. Już nie miał zamiaru szydzić.

- Co to znaczy wolny?

- Wróci do świata. Wróci tu.

- Kłamiesz...

- Zapytaj go.

- Nie oszukałby mnie. Jesteśmy jednej krwi.

- Sądzisz, że ma to dla niego jakieś znaczenie? Spędził tam pięćdziesiąt lat, czekając na szansę, by się wydostać. Myślisz, że coś go obchodzi, jak tego dokona?

- Powiem mu, jak kłamałeś - gniew Billy'ego nie był w całości skierowany na Cleve'a, chłopiec wątpił i próbował stłumić swe wątpliwości. - Kiedy się dowie, jak próbowałeś mnie zatruć, nastawić przeciwko niemu, jesteś trupem. Wtedy go zobaczysz. O, tak. Zobaczysz go. I pożałujesz, że go zobaczyłeś.

Najwyraźniej była to sytuacja bez wyjścia. Gdyby nawet Cleve zdołał skłonić władze, by przeniosły go przed nadejściem nocy - (marne szanse, musiałby przedtem odwołać wszystko, co mówił o chłopcu - musiałby wytłumaczyć im, że Billy jest niebezpiecznym szaleńcem, czy coś takiego. Z pewnością nie powinien wyjawiać prawdy) - nawet gdyby załatwił sobie przeniesienie do innej celi, to nie zapewniało mu to żadnego bezpieczeństwa. Sam chłopiec powiedział, że jest dymem i cieniem. Kogoś takiego nie mogły powstrzymać ani drzwi, ani kraty; dowodził tego los Lowella i Naylera. No i Billy nie był sam. Trzeba doliczyć do niego Edgara St. Claire Taita; a jakie moce mógł on mieć do dyspozycji? A jednak, zostać na noc w tej celi nie różniło się niczym od samobójstwa, prawda? Było jak kuszenie bestii, oddanie się jej w łapy.

Podczas kolacji Cleve odszukał wzrokiem Delvina i poprosił o prawo krótkiej rozmowy. Otrzymał je. Spotkanie nastąpiło po kolacji.

- Pan mnie prosił, żebym miał oko na Billy'ego Taita, proszę pana.

- No i co?

Przy kolacji Cleve intensywnie myślał o tym, co by tu powiedzieć Devlinowi, by otrzymać natychmiastowe przeniesienie, i nic nie przyszło mu do głowy. Otworzył usta, czekał na natchnienie, ale nie miał natchnienia.

- Chciałbym... chciałbym prosić o przeniesienie.

-, Dlaczego?

- Chłopak jest niezrównoważony. Boję się, że zrobi mi krzywdę. Dostanie ataku, jak...

- Załatwiłbyś go jedną ręką, on jest chudy jak szczapa.- Gdyby Cleve rozmawiał z Mayflowerem, w tym momencie zaapelowałby do niego jak do człowieka. Z Devlinem taka taktyka od początku byłaby skazana na klęskę.

-Nie rozumiem, na co się skarżysz. To chłopak jak złoto. - Devlin rozkoszował

się swą parodią kochającego ojca. - Spokojny, zawsze uprzejmy. Nie jest niebezpieczny ani dla ciebie, ani dla nikogo.

-Pan go nie zna...

- A tobie, o co właściwie chodzi?

- Niech mnie pan przeniesie nawet do karceru, proszę pana. Gdziekolwiek, dla mnie to bez różnicy. Byle tylko nie siedzieć z nim. Proszę.

Devlin nie odpowiadał, tylko patrzył na Cleve'a, nic nie pojmując. W końcu otworzył usta.

- Ty się go naprawdę boisz.

-Tak.

-, Co się z tobą dzieje? Siedziałeś w jednej celi z prawdziwymi twardzielami i nigdy się nie poskarżyłeś.

- On jest inny. - Cleve mógł już powiedzieć tylko jedno. - To szaleniec, proszę pana. Mówię panu, że to szaleniec.

- Cały świat oszalał i zostaliśmy tylko my dwaj, Smith. Nie obilo ci się to, kiedy o uszy? - Devlin roześmiał się. - Wracaj do celi i nie nudź. Chyba nie chcesz załapać się teraz na pociąg duchów?

Kiedy Cleve wrócił do celi, Billy pisał list. Siedząc tak na pryczy, pochylony nad kartką papieru, wyglądał bezbrinnie. Devlin powiedział prawdę, chłopiec był

chudy jak szczapa. Patrząc na rysujący się wyraźnie pod podkoszulką kręgosłup trudno było sobie wyobrazić, że coś tak delikatnego potrafi przetrwać trudy transformacji. Albo i nie potrafi. Być może wysilek związany ze zmianą rozedrze go kiedyś na strzępy. Kiedyś, ale nie teraz.

-Billy...

Chłopiec nie odrywał wzroku od listu...

-...to, co ci mówiłem o mieście... ..przestał pisać...

-...może rzeczywiście mi się przyśniło. Tylko przyśniło.....i zaczął od nowa.

-...i powiedziałem ci o tym dlatego, że się o ciebie niepokoję. Tylko, dlatego.

Chciałem, żebyśmy zostali przyjaciółmi. Billy podniósł wzrok.

- To nie moja sprawa - powiedział po prostu. - Już nie. Dziadek zdecyduje. Może okaże ci łaskę, a może nie.

- Nie musisz mu mówić...

- On wie, co jest we mnie. On i ja... jesteśmy jak jedna istota. To stąd wiedziałem, że by mnie nie oszukał.

Wkrótce nadejdzie noc, zgasną światła w pawilonie, pojawią się cienie; - Więc mogę tylko czekać, prawda? Billy potwierdził skinieniem głowy.

- Wezwę go, a potem zobaczymy.

- Wezwę go - pomyślał Cleve. Czyżby starszka należało, co noc wzywać z jego miejsca wiecznego spoczynku? Czy tamtej nocy widział, jak Billy robi właśnie to, stojąc pośrodku celi z zamkniętymi oczami i twarzą wzniesioną do okna? Jeśli tak, to być może dałoby się przeszkodzić chłopcu w wystosowaniu zaproszenia do trupa?

Zapadał wieczór, a Cleve leżał na pryczy i rozważał, jakie ma możliwości. Czy lepiej leżąc cierpliwie i czekać na wyrok, czy też może warto spróbować przejąć kontrolę nad sytuacją i zapobiec pojawieniu się Taita? Jeśli wybierze tę ostatnią możli-wość, spali za sobą mosty; już

nie będzie mógł błagać o litość i przeproszać -jego agresja niewątpliwie wywoła ich agresję. Jeśli nie zdoła zapobiec pojawieniu się Taita, wszystko się skończy.

Światła zgasły. W celach pawilonu B, położonych wzdłuż pięciu pięter korytarzy, więźniowie przykładali właśnie głowy do poduszek. Niektórzy, być może, planowali, jak ułożyć sobie karierę, kiedy ta przypadkowa przerwa w ich życiu zawodowym dobiegnie wreszcie końca, inni spoczywali w ramionach niewidzialnych kochanek. Cleve nadsluchiwał dźwięków wypełniających celę: bulgotu wody w rurach, płytkiego oddechu dobiegającego z dolnej pryczy. Od czasu do czasu nachodziło go wrażenie, że przeżył drugie życie z głową na twardej poduszce, zagubiony w cieniach.

Dochodzący go z dołu oddech wkrótce stał się prawie niesłyszalny; Billy ani drgnął. Być może zwlekał z wykonaniem ruchu czekając, aż Cleve zaśnie. Jeśli tak, to się nie doczeka. Cleve nie zamknie oczu i nie będzie czekał, aż go zaszlachtują we śnie. Nie był świnia, bez oporu idącą pod nóż.

Poruszając się jak najostrożniej, by nie wzbudzić żadnych podejrzeń, odpiął pasek i wyciągnął go ze szlufek. Lepsze więzy uzyskałby drąc na pasy powłoczkę i prześcieradło, ale przy tej okazji z pewnością zaniepokoiłby Billy'ego. Czekał teraz, trzymając pas w dłoni i udając, że śpi.

Tej nocy wdzięczny był za to, że rozlegające się w pawilonie hałasy wytrącały go ze snu, bowiem minęły pełne dwie godziny, nim Billy poruszył się na swej pryczy, a podczas tych DWÓCH godzin — mimo lęku o to, co może się stać, jeśli zaśnie -powieki opadały mu kilka razy. Ale noc była niespokojna; śmierć Lowella i Naylera zdenerwowała nawet najtwardszych więźniów. Godziny mijały, wyznaczone krzykiem we śnie-i krzykami na jawie tych, których obudziły krzyki we śnie. Pomimo fizycznego zmęczenia Cleve przewyciężył sen.

Już dawno minęła dwunasta i więzienie prawie całkiem się uspokoiło, nim Billy wstał z pryczy. Cleve słyszał jego oddech, już nie równy, lecz przerywany. Patrzył

przez zmrużone oczy, jak Billy zajmuje swe ulubione miejsce naprzeciw okna. Nie było najmniejszej wątpliwości, że za chwilę wezwie swego przodka.

Gdy tylko chłopiec zamknął oczy Cleve wstał, odrzucił koc i ześlizgnął się z pryczy. Billy zareagował powoli. Nim w pełni zrozumiał, co się stało, Cleve już pod przeciwległą ścianą celi, rzucił nim o ścianę i przykrył mu usta dłonią.

- To ci się nie uda - syknął. — Nie mam zamiaru dać się załatwić jak Lowell. —

Billy walczył, ale Cleve był o wiele silniejszy.

- Nie przybędzie tej nocy - powiedział i spojrzął w rozszerzone oczy chłopca. —

Nie przybędzie, bo ty go nie wezwiesz.

Billy walczył wściekle; mocno ugryzł go w dłoń. Cleve instynktownie cofnął rękę i chłopiec w dwóch krokach dopadł okna, chwytając za kratę. Zaczął śpiewać; był to dziwny śpiew, raczej melodyjna recytacja. Twarz miał zalaną łzami, nieoczekiwanymi i niewytłumaczalnymi. Cleve próbował odciągnąć go od okna.

- Zamknij się! — warknął, ale Billy śpiewał nadal. Uderzył go w twarz otwartą ręką, mocno.

- Zamknij się! - powtórzył, lecz chłopiec śpiewał nadal, teraz w innym rytmie. Kolejny cios, i kolejny. Lecz śpiew trwał. Powietrze w celi drgnęło, zrobiło się ciemniej. Cienie poruszyły się.

Cleve poczuł panikę. Bez ostrzeżenia zwinął dłoń w pięść i wymierzył chłopcu mocny cios w żołądek. Billy zwinął się i zarobił od dołu w szczękę. Głowa mu odskoczyła i z trzaskiem

uderzyła w ceglana ścianę. Nogi ugięły się pod nim i upadł na podłogę. Wystarczy pogłaskać go po buzi... -pomyślał kiedyś Cleve, i miał rację. Dwa dobre ciosy wystarczyły, żeby się przewrócił.

Rozejrzył się po celi. Cienie znieruchomiały; ale nadal drżały, jak charty czekające na start zająca. Z drzeniem serca przeniósł Billy'ego na pryczę i położył go.

Nie dostrzegł żadnych śladów powracającej świadomości, ciało było zupełnie bezwładne. Podarł prześcieradło i zakneblował chłopca, wciskając mu przedtem w usta kłęb płótna, mający stłumić najmniejszy odgłos. Następnie przywiązał go do pryczy; użył swego paska, paska chłopca i dodatkowych więzów z podartych prześcieradeł. Zabrało mu to kilka minut. Billy zaczął dochodzić do siebie, gdy Cleve wiązał mu nogi. Otworzył oczy; było w nich tylko zdumienie. Po chwili, uświadamiając sobie, w jakiej się znalazł sytuacji, zaczął rzucać głową - nie był w stanie inaczej wyrazić swego niezadowolenia.

- Nie, Billy - szepnął Cleve, przykrywając związane ciało kocem i ukrywając je w ten sposób przed strażnikiem, który w każdej chwili mógł zajrzeć przez judasza. - Tej nocy go nie przywołasz. Powiedziałem ci samą prawdę. Chce się wydostać i używa ciebie jako narzędzia ucieczki. - Złapał chłopca za głowę, ujmując dłońmi jego policzki.

- On nie jest twoim przyjacielem. Ja nim jestem. Zawsze byłem. - Billy próbował wyrwać głowę z jego uścisku; bez powodzenia. Nie trać sił - doradził mu Cleve - mamy przed sobą długą noc.

Zostawił chłopca na pryczy, przeszedł przez celę i usiadł w kucki, opierając się o ścianę. Nie zaśnie aż do świtu, a o świcie, kiedy znikną cienie i będzie mógł myśleć, zastanowi się, jaki wykonać ruch. Na razie był szczęśliwy, że jego prymitywna taktyka zadziałała. Chłopiec przestał walczyć. Najwyraźniej uświadomił sobie, że więzy zaciśnięto zbyt profesjonalnie, by można je było rozluźnić. W celi zapanował spokój.

Cleve siedział w kucki

w plamie padającego z okna światła, chłopiec leżał w mroku, oddychając cicho przez nos. Cleve spojrział na zegarek. Za sześć pierwsza. Ile czasu dzieliło go od świtu? Nie wiedział. Co najmniej pięć godzin. Podniósł głowę i spojrział w światło.

Światło go zahipnotyzowało. Minuty płynęły, powoli lecz bez przerwy, a światło trwało, niezmiennie. Czasami korytarzem przechodził strażnik i Billy, słysząc jego kroki, znów zaczynał się szarpać. Lecz nikt nie zajrzał do celi. Obu więźniów pozostawiono ich myślom - Cleve zastanawiał się, czy nadejdzie kiedyś czas, gdy uwolni się od prześladowającego go cienia, Billy myślał o tym, o czym myślą związane potwory. A minuty ciemnej nocy płynęły niezmiennie, jedna za drugą, jak idące gęsiego grzeczne dzieci, a kiedy przeszło ich sześćdziesiąt, nazywano to godziną. I świt zbliżał się o tę godzinę, prawda? Lecz o godzinę zbliżała się także śmierć i najprawdopodobniej koniec świata; na dźwięk trąb, o których z taką miłością wspominał Biskup, leżący pod trawą zmarli wstaną świeży jak świeży chlebek i staną twarzą w twarz ze swym Stwórcą. Siedząc tak sobie w kucki, słuchając oddechu Billy'ego, patrząc na odbijające się w szkle światło i dalej, w samo światło, Cleve zorientował się bez najmniejszych wątpliwości, że - nawet jeśli uda mu się wydostać z tej pułapki -

wydostanie się z niej tylko na jakiś czas; że ta długa noc, jej minuty, jej godziny, są tylko wstępem do dłuższego czuwania. Omal nie popadł w ostateczną rozpacz i upadł na duchu tak dalece, że stracił szansę, by kiedykolwiek udało mu się powstać.

Zapłakał. To jest prawdziwy świat. Pozbawiony radości, światła i nadziei i nawet bez strachu, bowiem boją się tylko ci, którzy mogą utracić to, o czym marzą. Spojrzał w okno, w światło, i jego myśli stały się jeszcze czarniejsze. Zapomniał o pryczy i o leżącym na niej chłopcu. Zapomniał o tym, że zdrętwiały mu nogi. Gdyby starczyło mu czasu, mógłby nawet zapomnieć o konieczności oddychania, ale z rozmyślań wyrwał

go zapach moczu.

Spojrzał na pryczę. Leżący na niej chłopiec właśnie opróżnił pęcherz, lecz był to tylko objaw czegoś zupełnie innego. Leżący pod kocem Billy poruszał się na kilka sposobów na które pęta nie powinny mu pozwolić. Cleve potrzebował kilku sekund, by oprzytomnieć i kilku kolejnych, by zdać sobie sprawę, co się właściwie dzieje. Zaczęła się przemiana.

Próbował wstać, ale nogi miał zupełnie zdrętwiałe od zbyt długiego siedzenia w kucki. Niemal upadł; machnął rozpaczliwie rękami i zdołał złapać się krzesła. Nie potrafił oderwać wzroku od ciemności, otaczającej dolną pryczę. Coś poruszało się tam coraz szybciej i w coraz bardziej skomplikowany sposób. Koc zsunął się na podłogę. Leżące pod nim ciało Billy'ego zmieniło się już nie do poznania; zmieniało się według tej samej zasady jak przedtem, ale odwrotnie. Materia gromadziła się wokół

ciała w brzęczących chmurach, zbierając się w potworne formy. Powstawały z niej członki i organy; zęby jak igły wyrastały z wielkiej i stale rosnącej głowy. Cleve błagał

Billy'ego, by przestał, lecz z każdym oddechem w chłopcu było mniej człowieka, którego można było błagać. Siły, której mu brakowało, bestia miała w nadmiarze: niemal wszystkie więzy zostały już zerwane i teraz, na oczach Cleve'a, pękły ostatnie; bestia uwolniła się i sturlała z pryczy na podłogę.

Cofnął się pod drzwi nie spuszczać wzroku ze zmienionego Billy'ego.

Przypomniał sobie, jak strasznie jego matka bała się skorków i dostrzegł w Billy'ern coś z tego owada; przypominał go w tym, jak odchyłał się do tyłu, przebierał nóżkami i ukazywał szczegóły tułowia. Lecz była to jedyna analogia do czegoś zwykłego i znanego. Z głowy wyrastały języki, zastępujące powieki przy czyszczeniu oczu, przesuwające się bez przerwy po zębach, z ciekących dziur, których były pełne, dobywał się odór kloaki. Jednak nawet teraz widać było coś ludzkiego i uwięzionego w bestii, a ślad ten powiększał tylko wrażenie potworności. Widząc jeżące się na tym ciele ostrza i haki Cleve przypomniał sobie przeraźliwy, coraz głośniejszy krzyk Lowella i poczuł, jak nabrzmiwa mu gardło gotowe wydać z siebie podobny dźwięk, jeśli tylko bestia zwróci się w jego kierunku.

Lecz Billy miał inne zamiary. Poszedł - straszliwie przebierając kończynami - do okna, uwiesił się na parapecie i przytulił do szyby jak pijawka. Ta jego pieśń nie przypominała poprzedniej, lecz Cleve nie miał wątpliwości, że to także jest przywołanie. Odwrócił się i zaczął walić w drzwi; miał nadzieję, że Billy będzie zbyt zajęty słaniem wezwania, by napaść nań nim przybędzie pomoc.

- Szybko! Na miłość boską, szybko! - Cleve wrzeszczał tak głośno, jak tylko pozwalało mu zmęczenie. Raz obejrzał się przez ramię w strachu, że Billy już się zbliża. Lecz nie, ciągle tkwił przy oknie, choć jego pieśń niemal ucichła. Nie potrzebował jej już. W celi niepodzielnie rządziła ciemność.

Przerażony, Cleve znów zaczął bębnić w drzwi. Ktoś biegł już po korytarzu, z sąsiednich cel dobiegały krzyki.

- Jezu Chryste, pomóżcie! - wrzasnął. Na karku czuł mróz. Nie potrzebował się odwracać by wiedzieć, co się dzieje za jego plecami. Cień rósł, ściana znikła, a na jej miejsce pojawiało się miasto i jego mieszkańcy. Tait też tam był. Czulo się jego obecność, wielką, mroczną. Tait — morderca dzieci. Tait - stwór z cienia Tait - mistrz przemiany. Cleve walił w drzwi, aż dłonie

zaczęły mu krwawić. Od wolności dzieliły go centymetry wielkości kontynentu. Czy nadbiegali? Czy już nadbiegali? Chłód uderzył

go w plecy jak cios. Zobaczył, jak drżące błękitne światło wywołuje jego cień na drzwiach, poczuł zapach piasku i krwi. I nagle usłyszał głos. Nie chłopca, lecz jego dziadka. Edgara St. Clair Taita. Był tu człowiek, który nazwał się pomiotem Szatana; słysząc jego obrzydliwy głos Cleve uwierzył i w piekło, i w pana piekiel, uwierzył, że sam jest już na łasce Szatana, że właśnie doświadczą jego cudów.

- Jesteś zbyt dociekliwy - powiedział Edgar. - Pora do łóżka. Cleve nie chciał się odwrócić. Jego ostatnią świadomą myślą było, że powinien się odwrócić i spojrzeć na mówiącego, ale nie chce. Lecz jego wola nie należała już do niego; Tait wsadził mu palce w mózg i grzebał w nim. Cleve odwrócił się. Spojrzał.

Wisielec stał tu, w celi. Nie jako potwór, z galaretowatą, nieforemną twarzą. Był tu we własnym ciele, ubrany - nie bez pewnego wdzięku - w garnitur z zeszłej epoki. Twarz miał przystojną: szerokie czoło, nieruchomy wzrok. Na ręce, którą głaskał Billy'ego po schylonej głowie, jak wiernego psa, ciągle nosił obrączkę.

- Czas umierać, panie Smith - powiedział.

Za drzwiami, na korytarzu, Cleve słyszał krzyki Devlina. Nie mógł nabrać powietrza i odpowiedzieć mu. Czy rzeczywiście w zamku obracał się klucz, czy też było to złudzenie, wyprodukowane przez jego mózg celem uspokojenia panicznego strachu?

W maleńkiej celi powiał wiatr. Przewrócił krzesło i stół, podniósł prześcieradła, frunące jak duchy dzieci. I zabrał ze sobą Taita, a razem z nim chłopca; wessał ich w malejące w perspektywie miasto.

- Pan idzie z nami - rozkazał Tait. Twarz zaczęła mu się rozplýwać. -

Potrzebujemy pana, pańskiej duszy i ciała, panie Smith. Pan jest nasz.

- Nie! - krzyknął Cleve w twarz swego kata. Próżnia wrywała mu palce, wyciskała oczy z czaszki. — Ja nie... Za jego plecami zazgrzytały drzwi.

- Nie pójdę, słyszysz?

Drzwi do celi otworzyły się nagle, pchnęły go w wir mgły i piasku, wciągający Taita i jego wnuka. Omal nie znikł wraz z nimi, lecz jakaś dłoń złapała go za koszulkę i odciągnęła od krawędzi przepaści, już niemal nieprzytomnego.

Gdzieś, daleko, Devlin roześmiał się jak hiena. Stracił zmysły, Ocknął się we śnie... i w mieście. Ocknął się pamiętając to, co wydarzyło się tuż przed utratą świadomości: histerię Devlina, rękę, która powstrzymała jego upadek, gdy wir wciągnął dwie postaci. Najwyraźniej udał się w ich ślady, niezdolny powstrzymać mózg, który przestał działać, od przemierzania po raz kolejny drogi do metropolis morderców. Lecz Tait jeszcze nie wygrał. Obecność w mieście ciągle się Cleve'owi tylko śniła. Jego cielesne „ja” pozostawało w Pantenville; świadomość tego faktu kierowała każdym jego krokiem.

Nasłuchiwał wiatru. Wiatr był, jak zawsze, wymowny; w każdym powiewie wraz z piaskiem niosły się głosy i nigdy, nigdy, nawet gdy wiatr zamierał nie nikły całkowicie. Rozpoznał wśród nich krzyk. W niemym mieście ten krzyk był jak szok, wygonił szczury z nor i ptaki z ich siedzib na jakimś dalekim placu.

Zaciekawiony, Cleve poszedł za tym krzykiem, który zostawił w powietrzu niemal widzialne echo. Spiesząc pustymi ulicami usłyszał dalsze krzyki; mężczyźni i kobiety pojawiali się w

drzwiach i oknach swych cel. Tyle twarzy, a każda inna; ku rozczarowaniu fizjonomisty nie było w nich niczego podobnego. Morderstwo ma tyle twarzy, co towarzyszących mu okoliczności. Jediną wspólną cechą jest jego

"obrzydliwość, rozpacz umysłów zamkniętych na wieki w miejscu zbrodni. Przyglądał się ludziom i zajęło go to wystarczająco, by nie zorientował się, dokąd prowadzą go krzyki. Nagle znalazł się w getcie, do którego trafił już wcześniej, za dziewczynką.

Wyszedł zza rogu i przy końcu ślepej alejki, którą widział wcześniej (mur, okno, za oknem zakrwawiona cebra) dostrzegł Billy'ego, wijącego się w piasku u stóp Taita.

Chłopiec był na pół sobą, a na pół bestią, w którą zmienił się na oczach Cleve'a. Jedna, lepsza, jego część wiała się, szukając wyzwolenia od drugiej; bez rezultatu. W jednej chwili pojawiała się cebra chłopca, blade, kruche, by w następnej porwały je fale przemian. Czyż właśnie w tej sekundzie nie pojawiło się ramię, pochłonięte w następnej, nim mogło wykształcić palce? Czyż wśród morza jeziorów nie mignęła nagle ludzka twarz? Przemiany nie podlegały analizie, gdy tylko udało się skupić uwagę na czymś znajomym, to coś natychmiast znikalo.

Tait obserwował walkę toczącą się u jego stóp. Później podniósł głowę i wyszczerzył na Cleve'a zęby. Tego popisu mógłby mu pozazdrościć rekin.

- Nie wierzył mi, panie Smith - powiedział potwór - i przyszedł szukać celi. Wijąca się postać wykształciła usta i wydała ostry krzyk, pełen bólu i przerażenia. - A teraz chce przede mną uciec - mówił Tait. - Pan zasiał w nim te wątpliwości. On musi ponieść konsekwencje. - Wymierzył drżący palec w Cleve'a i w chwili, gdy palec się podnosił cebra starca stało się wytłaczaną skórą. - Przyszedł pan tam, gdzie; pana nie proszono. Proszę spojrzeć, jakie spowodował pan cierpienie.

Tait kopnął to coś u swych stóp. Coś przewróciło się na grzbiet, wymiotując. - On mnie potrzebuje - mówił dalej Tait. - Czy nie starcza panu rozsądku, by to dostrzec? Beze mnie jest zgubiony.

Cleve nie odpowiedział wisielcowi. Zwrócił się do potwora, leżącego mu u stóp. - Billy - powiedział, wzywając zagubionego w przemianach chłopca. - Jest zgubiony - odpowiedział mu Tait. - Billy - powtórzył Cleve. - Posłuchaj mnie... - On już nie wróci. Pan to tylko śni. On tu jest we własnym ciebie. - Billy. Czy mnie słyszysz? To ja, to Cleve.

Miał wrażenie, że przemiany na mgnienie oka ustały, jakby ktoś słuchał jego słów. Cleve powtarzał imię chłopca, raz po raz.

To pierwsze, czego uczy się ludzkie dziecko: musi umieć się jakoś nazwać. Jeśli chłopak był w stanie zareagować na cokolwiek, z pewnością zareaguje na swoje imię. - Billy... Billy... - przy drugim słowie stwór przetoczył się. Tait zaczął zdradzać objawy niepokoju. Nie promieniował już taką pewnością siebie. Jego cebra ciemniało, głowa stawała się coraz bardziej okrągła. Cleve próbował nie zwracać uwagi na drobne zmiany w jego anatomii i skoncentrować się całkowicie na przywołaniu Billy'ego.

Powtarzanie imienia najwyraźniej przynosiło skutek, bestia przegrywała. Z każdą chwilą pojawiała się więcej chłopca. Wyglądał żałośnie: skóra i kości na czarnym piasku. Lecz twarz miał już prawie swoją i już patrzył na Cleve'a.

-Billy...

Chłopiec skinął głową. Pot przykleił mu włosy do czoła, drżał.

- Czy wiesz, gdzie jesteś? Kim jesteś?

Zrazu mogło się wydawać, że Billy nic nie pojmuje. Lecz po chwili - stopniowo -

w jego oczach pojawiło się zrozumienie, a wraz z nim paniczny strach przed mężczyzną, który nad nim stał.

Cleve spojrział na Taita. Przez kilka sekund, podczas których patrzył w dół, z jego twarzy i górnej części ciała' znikły niemal wszystkie ludzkie cechy, objawiając zepsucie znacznie głębsze niż zepsucie jego wnuka. Billy spojrział na niego przez ramię, do góry, jak zбитy pies.

- Należysz do mnie - stwierdził Tait, zaledwie zdolny wypowiedzieć te kilka słów.

Billy dostrzegł członki, które wystrzeliły by go pochwyć i próbował wstać, uciekać; lecz było już na to za późno. Cleve dostrzegł jak jeden z nich formuje ostry hak, jak owija się wokół szyi chłopca, jak go przyciąga. Z poderżniętej gardzieli trysnęła krew, a wraz z nią w powietrze wzbił się syk uciekającego powietrza.

Krzyknął.

- Do mnie - głos Taita zmienił się w belkot.

Nagle wąski zaułek wypełnił się światłem; chłopiec, Tait i miasto zaczęły blednąć. Cleve próbował trzymać się miasta, lecz ono przed nim uciekało. Na jego miejscu pojawiła się inna, solidna rzeczywistość: blask, twarz (twarze?) i głos, przywołujący go z jednego absurdu w drugi.

Doktor położył mu dłoń na czole. Wydawała się miękka.

- O czym pan do cholery śnił? - zapytał. Co za idiota!

Billy znikł.

Ze wszystkich tajemnic, wobec których stanęli naczelnik - i Devlin, i inni strażnicy, którzy tej nocy znaleźli się w celi B.3.20 -najdziwniejszą było zniknięcie Williama Taita z zamkniętej, nienaruszonej celi. Nie pozostawił po sobie ani śladu. O

scenie, która wprawiała Devlina w szaleńczy śmiech, nie powiedziano ani słowa; łatwiej było uwierzyć, że wszyscy padli ofiarą tego samego złudzenia, niż że wszyscy widzieli tę samą rzeczywistość. Gdy Cleve spróbował opowiedzieć, co się zdarzyło tej nocy, i kilku poprzednich, jego opowieść - często przerywana milczeniem i wybuchami płaczu - spotkała się z udawanym zrozumieniem i wymianą znaczących spojrzeń. Opowiadał ją jednak kilkakrotnie - mimo tego, jak go potraktowano - a oni, niewątpliwie szukając w bredzeniu szaleńca jakiejś wskazówki dotyczącej czarnoksięskiego wyczynu Billy'ego - zapisywali każde słowo. Kiedy okazało się, że nie ma w tym nic pomocnego w śledztwie, zaczęli tracić cierpliwość. Współczucie zastąpiły groźby. Pytali, a z każdym pytaniem krzyczeli głośniejsze, gdzie się podział Billy.

Odpowiadał im tak, jak umiał.

- W mieście. Rozumiecie, jest mordercą.

- A ciało? - pytał szef. - Jak przypuszczasz, gdzie jest jego ciało? Cleve nie wiedział, i przyznał się do swej niewiedzy. Dopiero

znacznie później, dokładnie mówiąc w cztery dni później, kiedy stał przy oknie patrząc, jak ogrodnicy idą między pawilonami niosąc sadzonki, przypomniał sobie o trawniku.

Znalazł Mayflowera, który wrócił do pawilonu B na miejsce Devlina i zdradził mu myśl,

która go naszła.

- Jest w grobie - powiedział. - Jest z dziadkiem. Dym i cień. Pod osłoną nocy wykopali trumnę; z kijów i brezentu wnieśli zasłonę, która miała zabezpieczyć ich przed wścibskim okiem ciekawskich. Lampy, jasne jak słońce lecz nie ciepłe, oświetlały pracę zespołu ludzi, który na ochotnika zgłosił się do ekshumacji.

Odpowiedź, jakiej udzielił Cleve na tę zagadkę, spotkała się z ogólnym niedowierzaniem lecz, w przypadku tak niewyjaśnionym, chwytało się już każdego rozwiązania. Dlatego zgromadzono się tu, przy anonimowym grobie, dlatego przerzucono ziemię, wyglądającą na nieruszaną od pięćdziesięciu lat; naczelnik, przedstawiciele Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, patolodzy i Devlin. Jeden z lekarzy, pewien, że straszne iluzje Cleve'a znikną gdy ten obejrzy zawartość trumny i naocznie przekona się o swym błędzie, wytłumaczył naczelnikowi, że należy go dopuścić do ekshumacji.

Kiedy otworzyli trumnę Edgara Claire Taita, tylko Cleve nie był zaskoczony.

Znaleźli tam ciało mordercy - być może wróciło do trumny dymem? - ani całkiem ludzkie, ani całkiem potworne i, jak mówił Biskup, zachowane jak po egzekucji.

Dzieliło miejsce z Billy Taitem; nagim, leżącym w objęciach dziadka. Niesamowita kończyła Taita wciąż okręcona była wokół szyi chłopca, a ściany trumny pociemniały od zakrzepłej krwi. Lecz twarz Billego pozostała niezmienną. „Wygląda jak lalka” -

powiedział jeden z lekarzy. Cleve pragnął odpowiedzieć, że żadna lalka nie ma na policzkach takich śladów łez, nie ma w oczach takiego wyrazu rozpacz, lecz ta myśl nie chciała przekształcić się w słowa.

Trzy miesiące później Cleve został warunkowo zwolniony z więzienia na podstawie specjalnego orzeczenia sądu apelacyjnego, po odsiedzeniu zaledwie dwóch trzecich kary. Po pół roku powrócił do wykonywania jedyne go zawodu, jaki znał. Miał nadzieję, że sny go opuszczą, lecz była ona krótkotrwała. Miasto nadal w nim tkwiło - teraz, kiedy odszedł Billy, którego umysł otworzył drzwi, trudniej było do niego dotrzeć i jego obraz nie był już tak ostry, lecz strach, jaki budziło, dręczył go nadal.

Czasami sny ustępowały niemal całkowicie tylko po to, by powrócić później ze wzmożoną siłą. Dopiero po kilku miesiącach Cleve zrozumiał wzór tych wahań. To ludzie sprowadzał i na niego sny. Gdy tylko spotykał kogoś myślącego o morderstwie, pojawiała się miasto. A takich ludzi spotykał często. W miarę, jak coraz lepiej odbierał

ich intencje, coraz większą trudność sprawiało mu nawet wychodzenie na ulicę. Byli wszędzie, ci potencjalni mordercy; doskonale ubrani, pogodni ludzie szli chodnikami i idąc wyobrażali sobie śmierć pracowników i żon, gwiazd seriali telewizyjnych i niedbałych krawców. Cały świat myślał o morderstwie i Cleve nie potrafił znieść jego myśli.

Od tego ciężaru wyzwalała go tylko heroina. Cleve rzadko przyjmował heroinę dożylnie, lecz teraz narkotyk stawał się dla niego rajem na ziemi. Był to jednak drogi nałóg; raptownie kurczący się krąg odbiorców nie miał szans go finansować. I wtedy pewien człowiek nazwiskiem Grimm, także narkoman, z taką pasją uciekający od rzeczywistości, że zdolny zaprawić się zsiadłym mlekiem, zasugerował, iż Cleve powinien znaleźć robotę za pieniądze, które by go usatysfakcjonowały. Wydawało się to dobrym pomysłem. Zaaranżowano spotkanie, złożono propozycję. Forsa okazała się tak wielka, że nie sposób było ją odrzucić gdy potrzebowało się pieniędzy.

Chodziło, oczywiście, o morderstwo.

Nie ma tu gości, tylko przyszli obywatele. Ktoś kiedyś mu to powiedział, chociaż Cleve nie był już całkiem pewien, kto. Wierzył w prorocтва. Jeśli nie popełni morderstwa teraz, z pewnością popełni je później.

I chociaż szczegóły morderstwa, którego podjął się dokonać, były mu strasznie znajome, nie przewidział nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Okoliczności sprawiły, że musiał uciekać z miejsca zbrodni bosą, musiał biec po chodnikach i po asfalcie, i kiedy wreszcie policja osaczyła go i zastrzeliła, stopy pokryte miał krwią. W ten sposób przygotował się wreszcie do marszu uliczkami miasta -dokładnie tak, jak w snach.

Czekał już na niego pokój, w którym zabił i Cleve mieszkał w nim, przez kilka miesięcy, kryjąc się przed tymi, którzy pojawiali się na uliczkach. Zakładał, że czas mijał i tu, bo rosła mu broda. Sen jednak przychodził rzadko, a dzień - nigdy. Po pewnym czasie odważył się w końcu stawić czoła wiatrowi i motylom, i poszedł na granicę miasta, gdzie domy stykały się z pustynią. Poszedł tam nie po to, by obserwować wydmy, lecz by słuchać głosów, zawsze obecnych, wznoszących się i opadających jak wycie szakali lub dzieci.

Stał tam przez dłuższy czas i wiatr zmawiał się z pustynią, chcąc go zasypać.

Lecz owoce czuwania nie rozczarowały go. Bowiem pewnego dnia (a może pewnego roku) zobaczył mężczyznę, który przeszedł obok niego, rzucił na ziemię strzelbę i poszedł w pustynię, podskakując, zataczając się, tańcząc o kulach. Otoczyli go ze śmiechem. Poszedł z nimi ze śmiechem. I choć odległość i wiatr zatarły obraz, Cleve był pewien, że widział jak mężczyzna zostaje podniesiony, jak ktoś inny bierze na plecy chłopca, jeszcze ktoś tuli w ramionach niemowlę, aż wreszcie, niemal niedosłyszalny, rozległ się krzyk człowieka, który ożył. Dopiero wtedy Cleve odszedł, zadowolony, wiedząc nareszcie, jak grzech (i on) pojawili się na świecie.